ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 18/97 | Londyn, dnia 1 maja 1949 | CENA 9 d.

ODEZWA PRYMASA POLSKI

NA 950 LECIE KANONIZACJI ŚW. WOJCIECHA

Z okazji 950 lat, które upłynęły od chwili kanonizowania pierwszego patrona Polski św. Wojciecha, prymas Polski arcybiskup Gnieźnieńsko-warszawski Stefan Wyszyński wydał następującą odezwę:

— Jeszcze żywo wpamięci mamy wspaniałe i podniosłe uroczystości, urządzone w prastarym grodzie Lecha przed dwoma laty przez wielkiego poprzednika mego Kardynała prymasa Hlonda z okazji 950-lecia śmierci św. Wojciecha. Jeszcze nie przebrzmiały w uszach naszych echa słów listu pasterskiego zgasłego Prymasa, wydanego z okazji tej uroczystości. Słowa te, pełne głębokiej treści, pisane były z wielkiej czci do św. Wojciecha i podyktowane były troską pasterską o dobro dusz nieśmiertelnych. Jak tam żywo staje nam św. Wojciech przed oczyma naszymi swoim wprost epokowym znaczeniem! Jak jasno świeci święta jego postać w zaraniu życia naszego kościelnego i narodowego, poprzez wieki historii polskiej, aż do dni naszych! Śmierć jego męczeńska zrodziła utworzenie metropolii gnieźnieńskiej, o której On za życia marzył, a która miała tak doniosłe znaczenie nietylko już dla naszego życia kościelnego, ale także kulturalnego i państwowego. Otwarła ona nową kartę w dziejach historii naszej.

— Zasadniczą treścią idei świętowojciechowej jest rozprawa z pogaństwem i utrwalenie Wiary Chrystusowej. I dzisiaj nie wolno nam się uchylać od rozprawy z pogaństwem. Trzeba mu się przeciwstawić! Jubileuszowym wołaniem z gnieźnieńskiej pomroki wiekowej wzywa nas św. Wojciech, byśmy duchowym zmartwychwstaniem i narodową służbą maryjną przyspieszyli B że jutro. Idźmy za Wojciechową gwiazdą przewodnią! Tak nawoływał nas zmarły Prymas.

— Z tym samym gorącym wezwaniem zwracam się i ja dzisiaj do Was, w duchu nadprzyrodzonym, kiedy to w bieżącym roku przypada 950-lecie kanonizacji św. Wojciecha. Miała ona miejsce za dni papieża Sylwestra II, gdy na synodzie rzymskim w 999 roku tenże papież zaliczył św. Wojciecha w poczet świętych męczenników. Chcąc dać wyraz naszej wdzięczności wobec Boga za tyle łask, udzielonych nam przez apostolskie prace i chwalebną śmierć Męczennika, chcąc podnieść na duchu Was, moi Ukochani, którzy usiłujecie z tak wielkim przywiązaniem zachować swą Wiarę, pragniemy złożyć publiczny hołd Apostołowi Polski w mieście naszym prymasowskim, w prastarym Gnieźnie, dnia 24 kwietnia br.

— Aby cały Naród polski i katolicki wzmocnił się widocznym znakiem swej jedności w Wierze, poprosiliśmy Najdostojniejszy Episkopat Polski na tę uroczystość do naszej stolicy prymasowskiej. I Was, Bracia i Siostry, z całego serca ojcowskiego i pasterskiego na te gody Wojciechowego Gniezna zapraszam.

— I choć dla różnych przyczyn nie wszyscy będziecie mogli przybyć, łączcie się z nami, arcypasterzami Waszymi, duchem i modlitwą, gdy my wspólnym serc naszych wieńcem okolimy relikwie świętego Wojciecha. Myślami waszymi wybiegajcie w tym dniu na górę Lecha, do prastarej i czcigodnej Bazyliki Gnieźnieńskiej, tej matki wszystkich kościołów w Polsce. Od grobu św. Wojciecha zaczerpnijcie ducha męstwa, ducha głębokiej wiary, ducha wielkiej nadziei i ducha nadprzyrodzonej miłości.

— Niech tę miłość wypełnia Wasze życie osobiste, rodzinne i publiczne na podstawie sprawiedliwości społecznej! Niechaj w niwecz obróci fale złości, nienawiści i zazdrości społecznej! Niechaj ona zbuduje we wszystkich ośrodkach społecznego życia codziennego, zawodowego i krajowego, królestwo miłości, pokoju i radości w Duchu świętym — pokoju Chrystusowego w królestwie Chrystusowym.

— Święty Wojciechu, wyjednaj nam pokój! Niech pokój zwycięski przyjdzie nam jako podarek za ofiarę krwi Twojej męczeńskiej. Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z Wami wszystkimi. Niech Was błogosławi Bóg w Trójcy jedyny, Ojciec, Syn Boży i Duch święty.

STEFAN WYSZYŃSKI
Arcybiskup gnieźnieński i warszawski, Prymas Polski.



J.E. X. DR STEFAN WYSZYŃSKI
ARCYBISKUP METROPOLITA GNIEŹNIEŃSKI I WARSZAWSKI, PRYMAS POLSKI

LIST PRYMASA POLSKI DO UCHODŹCTWA

Drodzy Polacy Katolicy!

Serce nasze zwrócone jest ku Wam" *(2 Kor. 6, 11)*, gdziekolwiek jesteście poza granicami Polski rozproszeni, 'Wy kość z kości naszej i krew z krwi naszej, tak w Europie i Ameryce, jak na całej kuli ziemskiej.

Bądźcie więc pozdrowieni w imię Pańskie, w Panu naszym Jezusie Chrystusie przez Prymasa Polski!

W uroczystość Matki Bożej Miłosierdzia ub. r. Sekretariat Stanu zawiadomił mię, że Ojciec św. polecił mi objąć rządy pasterskie nad osieroconymi stolicami arcybiskupimi w Gnieźnie i w Warszawie, jako następcy przedwcześnie zmarłego śp. Kardynała Augusta Hlonda. Głos tego wielkiego syna odrodzonego Narodu i niezwalczonego Kościoła, napełnił cały okrąg ziemi, odzywał się nieraz do wszystkich Polaków, mieszkających poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej i docierał do ostatnich zakątków świata, gdziekolwiek Polacy Katolicy przebywali. Słuchaliście chętnie tego głosu prymasowskiego i znaliście go.

Pozwólcie więc, że i ja dzisiaj do Was się odezwę, jako arcybiskup gnieźnieński, a tym samym Prymas Polski.

Przesyłam Wszystkim, Bracia Polacy-Katolicy, gdziekolwiek jesteście, od grobu św. Wojciecha pozdrowienie pokoju, słowy Apostoła Narodów *(Filip. 4, 7)* „A pokój Boży, który przewyższa wszelki zmysł, niechaj strzeże serc waszych w Chrystusie Jezusie". Niechaj się wszyscy połączą w pokoju i dla pokoju Chrystusowego, w pełnej zgodzie myśli i uczuć, pragnień i modlitwy, czynów i słowa.

Myślą wybiegam do Was, kochani Rodacy i ślę Wam serdeczne pozdrowienie z kraju i ojcowskie błogosławieństwo z nadzieją, że godnie spełnicie swe posłannictwo na emigracji. Strzeżcie ducha wiary, by krzepić nim serca. Odcinajcie się Duchem Chrystusowym od zalewu niewiary, pielęgnujcie głębokie życie religijne. Uświęcajcie swe dusze, a modlitwą Waszą wymódlcie lepsze jutro świata.

Zwiastuję Wam radość wielką: Alleluja! Tak powitali Nas słudzy ołtarza Pańskiego w Wielką Sobotę. Zwracam je z pasterskim pozdrowieniem ku Wam, Umiłowani Bracia Kapłani, którzy z tak wielkim poświęceniem się dźwigacie trud pracy apostolskiej wśród emigracji naszej! I ku Wam Bracia i Siostry, którzy współpracujecie z Waszymi Kapłanami około zbawienia dusz Waszych

Pełni wielkanocnych pociech jednoczymy serce Nasze pasterskie z Wami, umiłowani Kapłani i drodzy Rodacy, i życzenia nasze świąteczne umacniamy modlitwą: Błagamy Cię, Panie, racz nam sługom Twoim i całemu Duchowieństwu, oraz pobożnemu ludowi chrześcijańskiemu, wraz z Papieżem naszym Piusem, pokoju udzielić w tym czasie paschalnych radości". *(Exsultet)*

Jako zadatek pokoju i radości, przyjmijcie Nasze prymasowskie błogosławieństwo.

Gniezno, od grobu św. Wojciecha w kwietniu 1949 r.

(—) STEFAN WYSZYŃSKI
Arcybiskup Gnieźnieński i Warszawski

★ To wam powiedziałem, abyście pokój mieli we mnie. Na świecie doznacie ucisku, ale ufajcie, Jam zwyciężył świat. (Jan, 16,33)

★ Starajcie się zachować jedność ducha, złączeni węzłem pokoju. (Efez. 4,3)

★ Albowiem Bóg nie jest Bogiem rozterk, ale pokoju. (1 Kor. 14,33)

TERESA SKÓRZEWSKA

TEATR W OBOZACH

Życie w obozach stwarza zagadnienia bez precedensu, więc bez gotowych rozwiązań. Mieszkańcom beczek wciąż wypłaszanym z czasowych leży trudno się zdobyć na pogodną filozofię Diogenesa. Chmury przesłaniają im słońce.

Dziś znowu żołnierze przeżywają moment krytyczny, wyrwani z form bytu, które z wiarą tworzyli, i w które wrośli z wolną siłą instynktu zapuszczania korzeni. Kompanie z biegiem czasu stały im się namiastką rodziny. Raz jeszcze osamotnieli w obcym tłumie, z którego zwolna wyłonią się nowe ludzkie twarze — w nieznanym krajobrazie, gdzie stopy coraz bardziej znużone z trudem doszukują się ścieżek.

Skarga starego plutonowego z Polesia najlepiej określa niepokój nurtujący obozy: „wśród obcych człowiek nad człowiekiem skruchy nie ma".

Niepokój ich jest ludziom z zewnątrz niezrozumiały. Bo przecież krzywda im się nie dzieje...

— Jest obóz? Jest. — Jest dach nad głową? Jest. — Jest co jeść? Jest także. I fotel jest, i organizacje opiekuńcze. — A czego nie ma? Serca. — W podobny sposób (brak tekstu uniemożliwia cytat dosłowny) określa sytuację jeden z bohaterów „Displaced Person", wójt rady obozowej Tworzydło, gospodarz mądry i dobry, jakich w korpusie podoficerskim i wśród starszych żołnierzy nie brakło.

Wśród wielu smutnych stron życia emigracji, radosnym objawem jest uparty wysiłek przetrwania teatru. Choć zmuszony był rozpaść się na drobne grupy, które materialnie z trudem koniec z końcem wiążą, Teatr Dramatyczny, na froncie wyrosły, pozostał jedną z najżywszych komórek społecznego życia. Trafia do kątów najbardziej zapadłych, najlichsze baraki przeistacza w scenę. W warunkach egzystencji nomadów potrafi i dobór sztuk i grę utrzymać na dobrym artystycznym poziomie.

Niedawno Teatr wystawił u nas „Displaced Person". Budzyński stworzył w tej sztuce syntezę obozu, w której obóz siebie rozpoznał. Ludzie potrzebują wyrazu dla swych przeżyć, a znaleźć go nie umieją w trudzie coraz nowych przystosowań. Radość widowni, odnajdującej na scenie swoją własną dolę,, udzielała się aktorom. Nie grali, lecz razem z autorem wżywali się w życie obozu. Stół, krzesło składane, łóżko żołnierskie ze zwiniętemi w wałek kocami, niezdarnie naśladujące kanapę, nie robiły wrażenia sceny, lecz drzwi otwartych do sąsiedniej beczki, a ludzie na scenie kontynuowali nasze zebrania, i dyskusje, biegli na nasze tańcówki, troszczyli się o nasze kury (żywe już tylko w teatrze, bo w rzeczywistości niedawnym edyktem skazano je wszystkie na śmierć)...

Można by szereg przeciągnięć i niedociągnięć w konstrukcji tej sztuki wykazać. Nie jest się jednak skłonnym szukać błędów w utworze, który wniósł tyle radości w szarzyznę obozów. Zbyt ważną pozycją jest plastyczne ujęcie życia i trosk codzienych tysięcy Polaków. Ważne jest, że list św. Pawła o „nic nie mających, a wszystko posiadających", który nieraz przechodzi niezauważony w kościele, z sceny uderzył w serca słuchaczy pełnią swego znaczenia; ważne, że pojęcie rodziny, zacierające się wśród ludzi bezdomnych, nabrało na niej barw żywych, a miłość wzniosła się do gotowości ofiary i wyrzeczenia, która ją różni od instynktu zwierzęcego. Budzyński bawiąc, czujnie wyławia proste, codziene problemy etyczne, które usunęliśmy nieraz w podświadomość, szukając w trudnym życiu najłatwiejszych dróg, wiodących pozornie ku powodzeniu, a w istocie ku duchowej ruinie i rozkładowi społeczeństwa.

Szereg powiedzeń i żartów z sztuki przyjęło się w obozie. Taki oddźwięk świadczy o utrafieniu w sedno wielu bolączek.

Sztuka tendencyjna? Niewątpliwie! Z tendencyjności nieprędko da się wybrnąć literaturze polskiej. Z zazdrością czyta się essay Czapskiego o Prouście: „Nic nie. jest mu (Proust'owi) bardziej obce, niż tendencyjność. Często powtarzał, że jedynie pogłębienie formy do ostatecznych granic może doprowadzić do zarysowania się istoty pisarza".

Czy w Polsce kult formy może się pogłębiać w obecnej fazie naszego bytu? Trudna to sprawa w narodzie, który toruje sobie w udręce drogę, kończącą się nieraz ślepym zaułkiem zmuszającym do nowych nawrotów i błądzeń.

Artyści polscy niemal bez wyjątku stają w pewnej chwili wobec dylematu.

Wstrząsy kraju zwracają ich wrażliwość ku akcji ratunkowej, zatem ku palącym problemom politycznym, społecznym, wychowawczym, które w rękach ludzi mniej żywych, kostnieją w schematy, nie nadążające za biegiem wypadków. W dylemacie między powołaniem artysty a Polaka, najczęściej Polak bierze górę. Jest tragizm, lecz i siła w nieustannej gotowości przekreślenia własnych możliwości, by służyć sprawom nie cierpiącym zwłoki. Ten niepokój polskiego sumienia i życie w ciągłym pogotowiu, nie sprzyja jednak krystalizacji dzieł sztuki.

Czynniki te brużdżą i w komediach Budzyńskiego. Typy, które obserwuje z czujnym humorem, nie są mu tylko tworzywem dzieła. Są towarzyszami emigracyjnej tułaczki. Chce im „serca otwierać". Pisze pospiesznie, by ich na nowym etapie dziwnych polskich dróg uchwycić, zanim układ wciąż zmieniającego się życia przybierze znowu inne kształty. Są w sztukach jego zalety i wady szybkiego szkicu. Jest ostra spostrzegawczość, i wskazanie serdecznym żartem punktów newralgicznych naszego współżycia. Jest przemyślenie cech człowieka, jakie życie na emigracji wytwarza.

Nie znaczy to, abyśmy nie byli spragnieni i nawrotów do przeszłości polskiego teatru.

W „Orle Białym" pisano kiedyś o zignorowaniu przez społeczeństwo, pełnego pietyzmu wysiłku wystawienia „Wesela". Grane było podobno przy pustych salach, przyjęte obojętnie. Odmienne relacje chodziły n.p. z obozu w Witley. Mówiono, że widownia była przepełniona i głęboko sztukę przeżywała.

W istocie żołnierz nasz nie jest przygotowany do teatru Wyspiańskiego, tak jak żołnierz brytyjski nie stanowi zwykłej publiczności, ileż łatwiejszego teatru Szekspira. Wrażliwość polskiego żołnierza jest jednak cierpieniem wyostrzona i chłonna. Brak tylko wysiłku wprowadzenia go w polskie pośmiennictwo.

Spalenie na panewce tak ważnego dokonania jak wystawienie „Wesela" wynikło chyba z niedostatecznego technicznego porozumienia między dyrekcją teatru a dowództwami obozów. Olbrzymi obóz w Foxley, gdzie przed rokiem kwaterowały między innymi szkoły średnie Drugiego Korpusu, byłby Wyspiańskiego rozumiał. Ku ogólnemu żalowi „Wesele" tam nie dotarło.

W innym obozie, Zelwerowiczówna na wieczorze polskich podań i legend miała tylko dwudziestu zachwyconych słuchaczy. Nie należy stąd wyciągać wniosku, że reszta obozu nie była zainteresowana. Po prostu dowiedziano się dopiero nazajutrz, że wieczór się odbył.

Nowakowski w dawnym już artykule: „Frontem do Obozów" poruszył istotne zagadnienie naszego intelektualnego i duchowego głodu. Gdy z ludzmi z Londynu rozmawia się o konieczności pierwszorzędnych odczytów w obozach, odpowiadają, że nie widzą potrzeby rozwałkowywania ciągle tych samych bolączek. Nie potrzeba istotnie przenosić na nasz teren „aktualnych", bezpłodnych nieraz, dyskusji i swarów. O co innego chodzi: Obozy, to wsie polskie złym czarem na mylną długość i szerokość geograficzną przeniesione, wyrwane z swej normalnej socjologicznej struktury. Żywe polskie słowo, nie propagandowe, a po prostu przynoszące obraz polskiej historii, literatury, tradycji musi tym wioskom przypadkowym, pozbawionym organicznych więzów, zastąpić dopływ polskości, płynący normalnie z kontaktów z parafią, powiatem z współżycia sąsiedzkiego, z całożyciowych przyjaźni, i wiekowych obyczajów.

W ciągu dwuletniego postoju w jednym z największych obozów w Anglii żaden z polskich pisarzów, żaden prelegent do nas nie dotarł. Docierał tylko teatr, przynoszący za każdym razem chwilę otrząśnięcia z marazmu i przebudzenia z nałogu jedynej dostępnej nam rozrywki: marnego filmu.

Teatr dramatyczny 2-go Korpusu towarzyszył żołnierzowi na wszystkich etapach i jak teatr średniowieczny nie miał określonych granic miedzy sceną a widownią. Był sztuką żywą wyrosłą z głębokiej potrzeby Armii. Do grona wytrawnych aktorów kooptował prostych żołnierzy. Tak powstał podobno świetny i jakże autentyczny Soroszczak w „Spotkaniu".

Spostrzegawczość, wyczucie tragizmu i komizmu ludzi i sytuacji, obrazowość opowiadań naszych żołnierzy, świeże, niezwykłe metafory lśniły nieraz w namiotach i barakach iskrami niespodziewanego, naiwnego piękna. Jest szkodą nie do naprawienia, że nikt nie umiał ich w lot uchwycić i utrwalić. Dziś rozprysło się zżycie, które skłaniało do nieskrępowanej gawędy.

Tylko teatr wiąże najnowszy etap z dawnymi — magią słowa.

Teresa Skórzewska

NOTATNIK

KLOPS KALININGRADZKI

Prasa niemiecka skarży się na to, że Niemcom zachodnim dość obojętny jest los „niemieckiego wschodu". Jako szczególnie jaskrawy przykład pismo „Die Tat" podaje, że pewien restaurator zmienił w swoim menu tradycyjną nazwę Koenigsbereger Klops na „Kaliningrader Klops".

Ten klops odsłania nam rąbek psychiki niemieckiej. Mówi o korzeniu się przed siłą , więcej: lojalności wobec przemocy. A także o świeżości niemieckiego poczucia wspólnoty i patriotyzmu całej Rzeszy. (w.w.)

WAGA I BUSOLA

Czy p. Leon Chajn jest jeszcze wice-ministrem sprawiedliwości w Warszawie tego nie wiemy, ale sądząc z jego artykułu w „Demokratycznym Przeglądzie Prawniczym" z zeszłego roku ,możemy sobie zdać sprawę, jakie wiekopomne dzieło po sobie zostawi. Waga była dotąd powszechnym emblematem sprawiedliwości, p. Chajn chce ją zastąpić „busolą". Daje on cenne wskazówki co trzeba poczynić, „by polityka personalna Ministerstwa otrzymała właściwą busolę".

Sterować na lewo to mało, trzeba wiedzieć jak i dotąd? Od czegoż busola? Zagadnienie jest skomplikowane, albowiem ma się do czynienia z pięciu kategoriami polskich prawników. Wierni członkowie Partii, to pierwsza kategoria. Okazuje się, że nie bez zarzutu, bo „niektórzy bezpartyjni sędziowie i prokuratorzy mogą służyć jako przykład nawet dla członków Partii". Jest i trzecia kategoria prawie że wtajemniczonych, bo już „pozyskali świadomość współuczestnictwa wespół z masami ludowymi". Kategoria czwarta to ci, dla których „legitymacja partyjna jest zasłoną dymną dla awansów". Ale z busolą w ręku można odnaleźć jeszcze wśród „sędziów, prokuratorów i urzędników", tę kategorię piatą, tych którzy „stoją i wyczekują". Ich postawa wynika z tego, iż „nie wierzą w trwałość dokonanych zmian, bo, jak wyraził się jeden z sędziów — „nie lała się krew na Placu Teatralnym. Przypuszczają oni, że się wszystko... jakoś unormuje". Mało tego, co gorsze „słuchają chętnie radia londyńskiego i w każdym tubalnym głosie zza oceanu z nutą awanturnictwa wojennego — dopatrują się rychłej zapowiedzi owej normalizacji".

Pan Chajn wie, jak ich zastąpić. „Dlaczego ,sędzia grodzki nie może zostać przezesem sądu okręgowego czy apelacyjnego", zapytuje wiceminister sprawiedliwości i grozi: „Rewolucja polityki personalnej stanie się owym rozlewem krwi na Placu Teatralnym dla sądownictwa, który szybciej dotrze do świadomości polskiego sędziego, prokuratora i adwokata i przyśpieszy proces twórczej i aprobującej postawy"!

ZAWSZE

Zdanie, które warto sobie wciąż przypominać: Oświadczenie „ministra oświaty" Skrzeszewskiego na bankiecie Komitetu Słowiańskiego w Moskwie — Ilekroć stoimy przed rozwiązaniem trudnego zagadnienia, zawsze mamy przed oczyma przykład Związku Radzieckiego i korzystamy z jego doświadczeń. (ch)

GRZECH GOMÓŁKI

Mało kto wie, iż w bolszewickim politycznym żargonie Polska obecna jest krajem... „Narodowej demokracji". Nie byle kto, bo sam towarzysz Bierut oświadczył, iż „narodowa demokracja jako nowa forma politycznej władzy pracujących, którym przewodzi klasa robotnicza najlepiej odpowiada naszemu rozwojowi na drodze do cocializmu". By kroczyć ku „socjalizmowi" trzeba tymczasem jak widać operować na lewo przymiotnikiem „narodowy". Grzech towarzysza Gomółki polega na tym, że operował tym przymiotnikiem nie na lewo ale na prawo.

Cóż mu zarzucają? Przy wyliczeniu zarzutów należy zachować tę tak obrazową choć szablonową komunistyczną nomenklaturę przewinień, którą odnajdujemy w artykule, poświęconym Polsce w piśmie „Woprosy Ekonomiki". Tym mocniej wtedy między wierszami dają się uwypuklić „nacjonalistyczne i oportunistyczne wahania Gomółki", które spłodziły „wiele poważnych błędów i niedomagań". Na tle tych oskarżeń zarysowują się wyraźnie kontury oporu, z jakim spotyka się ze strony społeczeństwa akcja agentów Moskwy.

Otóż towarzyszu Gomułka, powiadają oni, dopuściłeś się dewiacji w prawą stronę. Twym pierwszym grzechem jest, żeś „zignorował rewolucyjne międzynarodowe tradycje ruchu robotniczego w Polsce". To mało i nie wszystko. Jesteś człowiekiem nie tylko „ograniczonym", ale co gorzej, bo „nacjonalistycznie ograniczonym", gdyż „niedoceniasz i negujesz rolę Rosyjskiej Partii Komunistycznej i Związku Sowieckiego, jako wiernego przyjaciela krajów „narodowej demokracji".

Pamiętaj, towarzyszu: Nie ma „oddzielnej polskiej drogi" do socjalizmu, ale jest ona jedną z wielorakich ścieżek dykatury proletariatu, która jest „drogą wspólną". Zerkasz wyraźnie na prawo „z twoją teoryjką łagodzenia walki klasowej", „ześlizgujesz się do dyspozycji złotego środka i sojuszu z liberalną burżuazją. Nie potrafiłeś precyzyjnie w sposób marksistowski zanalizować układu sił na wsi polskiej". Nie przeciwstawiłeś się całą siłą „teorii równowagi", kłamliwym sądom „o harmonijnym współżyciu" i równoległemu rozwojowi „trzech sektorów" w życiu gospodarczym Polski, zacierałeś objawy walki klasowej na wsi i tuszowałeś wzrost wpływów chłopów „kułaków". Negowanie przez ciebie, klasowych sprzeczności na wsi znalazło swój wyraz w ustanowieniu przez ciebie jednej ceny dla wszystkich kategorii włościan przy korzystaniu z maszyn rolniczych i traktorów. Niedoceniałeś również znaczenia rozwoju kooperatyw przemysłowych. „Pomoc sąsiedzką zrozumiałeś tak, że korzystali z niej „kułacy" a twoja polityka kolonizacji Ziem Zachodnich doprowadziła do uprzywilejowania bogatych włościan kosztem biednych i średnio-zamożnych!

Chciałoby się w tym miejscu przypomnieć skierowane do polaków z „Priwislenskawo Kraja" — przez cara Aleksandra II: „Point de rêveries"! A jak widać „Mikołaj rozlany na tysiące, jak pisał przed stu laty Krasiński, wydać musi te same owoce co tysiące, skupione w Mikołaju, — ciemnotę, nieporządek, mściwość wieczną i strach bez miary".

W CO WIERZĄ

Cóż dodać do tych słów „Daily Expressu" skierowanych pod adresem Kościoła anglikańskiego: — Jak wyglądać mogą nasze sprawy kościelne, kiedy dziekan z Canterbury wierzy wszystkiemu co wyczyta w „Prawdzie" a biskup Birminghamu nie wierzy połowie tego co czyta w Piśmie Świętym? (h. i.)

JEDEN POWSZECHNY

Zafascynowani nieuchronną, jak nam się zdaje, grozą trzeciej wojny światowej, nie zastanawiamy się nad tym jak szybkie są postępy prawdziwej wiary poza Europą.

Przed pół wiekiem Uganda, kraj nad górnym Kongo w samym sercu Czarnego Lądu był białą plamą na mapach europejskich. Ale już wówczas było tam 22 męczenników katolickich. Dziś Uganda jest krajem o względnej większości katolickiej, o trzech seminariach duchownych, przeszło tysiącu szkół katolickich.

W Australii, kontynencie kolonizowanym przez narody protestanckie, ostatni spis wykazał bezmała czwartą część ludności jako katolików. Niewiele tylko pod względem liczebnym przewyższają ich oficjalni anglikanie, inne wyznania pozostają daleko w tyle. Powtarza się tu zjawisko, które nastąpiło w Stanach Zednoczonych: najliczniejszym i najsilniejszym z wyznań staje się katolicyzm.

WIEDZA

Z wykształceniem dziennikarzy krajowych coś nie najlepiej. W dzienniku reżymowych katolików czytamy wzmiankę zaczynającą się od słów:

„Arcybiskup Hakim Melchite Rite, Biskup Acre-Haifa, powrócił do Haify..."

Melchite Rite, bardzo ładne nazwisko. A może tytuł w rodzaju Negus Negesti? Dla pewności jednak, gdy w przyszłości w angielskim tekście zobaczycie „Melchite Rite", to tłumaczcie „obrządku melchickiego". Jest, rzecz dziwna, i taki w Kościele.

(w. w.)

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

Rys. LELA PAWLIKOWSKA

WYRZYKOWSKI



Stanisław Wyrzykowski

NAROŻNIK domu w Medyce ocieniał stary czarny buk, którego nisko rozpostarte gałęzie sięgały poprzez drogę ponad parterowe arkady. Nad arkadami przez całą długość frontu ciągnęła się szeroka galeria pod ciężkim dachem podtrzymanym kolumnami. Dom stał na polance parku odciętej od dalszej polanki i od „jeziora" wysoką ścianą klonów, platanów i jesionów, podszytych zwartym gąszczem krzewów. Na polance stały przez buka, dwumetrowej prawie grubości amerykański orzech, wysokie tulipanowce i drzewiasta magnolia, a przed frontem domu stuletnia gingko, z której niskiego pnia rosochate konary rozpościerały się nad samym gazonem. Było słoneczne, ciepłe rano. Żółta azalia, róże przy ścieżce i przedziwny kalikantus pachniały jak szalone. —

W tej ciszy naraz zadudniało gdzieś na moście. Po chwili zadudniało bliżej na drugim. Droga biegła przez wyspę. Ktoś do nas jechał. Już słychać było cichy, ale wyraźny tentent koni i toczenie się kół powozu w tunelu długiej lipowej alei. Od jej wylotu na polankę droga szła łukiem pomiędzy gingko i tulipanowce, popod dachy buka, pod boczny podjazd dworu. Patrzymy z galerii pomiędzy liście. Mignęły kare konie wracające ze stacji... Przyjechał, przyjechał... przyjechał Pan Stanisław. —

Mieliśmy w Medyce niejednego gościa, który przeżył z nami tam długie miesiące, niemal lata. Sichulski, Karol Maszkowski, Stanisław Pieńkowski i inni. Był także Wyrzykowski. Ale on formalnie był w innym charakterze, jeśli chodzi nie o „rzecz" ale o „ścisłość". Było to już w ostatnich latach przed wojną. Kiedy zajrzawszy raz do nas usłyszał, że się głowię nad tym jakby skorzystać z tego że mieliśmy na wsi bardzo dużo miejsca i urządzić pensjonat, aby związać koniec z końcem, co zresztą nigdy do skutku nie doszło, zaproponował mi odrazu że pierwszy z tego skorzysta, i nie dał sobie już tego w żaden sposób wyperswadować. Postanowił być u nas na warunkach „paying-guest'a". Przykrość inkasowania miał już przyjaciel mój i administrator, Henryk Potocki.

Pan Stanisław mieszkał w domu na wyspie. Był to obszerny dom, umeblowany w stylu willi szwajcarskiej, wybudowany dawniej przez mego ojca dla ówczesnego dzierżawcy. Przed domem tym był wielki okrągły gazon. Po jego drugiej stronie stała kapliczka, urządzona przeze mnie z ocalonego ganku i wejścia do oficynki, zburzonej podczas poprzedniej wojny. W tej oficynce, gdzie zeszło moje przyjemne dzieciństwo, zbierał ongi pułk swój Lelewel Borelowski. Połowę gazonu zacieniały dwa olbrzymie platany. W tle widać było wysokie gmachy lip parku za wodą, a wyżej topole nadwiślańskie. W tym tedy domu mieszkał Wyrzykowski. Wstawał o 6 rano i pracował parę godzin zanim się posłało mu śniadanie. Najczęściej przychodził dopiero na obiad i znowu wracał do pracy, aby już potem przyjść pod wieczór. — Napisałem kiedyś sonet o sobie, pod tytułem „Żóraw". Pamiętam z czasów mego dzieciństwa w Medyce takiego oswojonego żórawia, niby obecnego, a ciągle czegoś wypatrującego w górze... Ale kiedy sobie przypomnę Wyrzykowskiego, wydaje mi się on do tego żórawia dużo podobniejszym odemnie. Przychodzi mi dziwaczna myśl do głowy, aby się tym wierszem z nim podzielić, albo ofiarować go jego pamięci... Pamiętam, jak szedł przed wieczorem zawsze ciemniejącą aleją, wysoki, popielaty, poważny, a liść szeleścił mu pod nogami... Czasem stawał i patrzał wysoko po gąszczach, nasłuchując kukułki lub wilgi. Szczególnie lubił „siostrzyczki wilgi".

Kiedy już przyszedł wieczorem i zostawał do późna, był rozmowny, lubił pośmiać się i żartować. Miał duży zmysł humoru i umiał się śmiać serdecznie z karykatur własnych, które „ściągała" z niego moja żona. Lubił też towarzystwo dzieci. Ale najwyraźniej go widzę i rozumiem jako typ samotnika o poważnym, a przy całym spokoju, dramatycznym spojrzeniu ciążącym na ludziach i rzeczach. To wrażenie utrwalało się we mnie w miarę coraz bliższego naszego współżycia i poznawania jego myśli. Wyrzykowski miał wrodzoną sobie, zupełnie niezależną linię ideową, opartą na niewzruszonych niczym, nie ulegających żadnym wpływom i konjunkturom, fundamentach etycznych. Na jego opinii o ludziach i sprawach ze stanowiska honoru i uczciwości osobistej i publicznej, na jego zdrowym poczuciu narodowym można było polegać niezawodnie Ale że z niejednego pieca chleb jadł, i w najrozmaitszych środowiskach się obracał, gdzie był sam jeden taki a nie inny, zrosło się z jego twarzą pewne piętno samotnej zadumy, pewne spojrzenie krytyczne nie mające cech ironii, ale troski. W oczach tych, kiedy widziałem go pośród różnych ludzi, była zawsze baczna gotowość bezkompromisowej obrony godności ludzkiej, dobra i ideału narodowego. Wyrzykowski wnosił ze sobą atmosferę pewności i przymierza dla jednych, którymby mogło braknąć odwagi cywilnej, onieśmielenie dla oportunistycznych kpiarzy, a postrachu dla innych.

Na dowód szczególnego zaufania udzielił mi do przeczytania pamiętnika swojej młodości, bardzo szczerego i pouczającego. Myśleliśmy, że przecież go warto drukować. Ale namawiałem go jeszcze bardziej do napisania dalszej części, szczególnie interesującej, której sprawy poznałem od niego i poza nim. Ale wątpię czy, pochłonięty swoją pracą literacką, istotnie więcej napisał.

Gdyby to można było spamiętać co słyszały półki małej biblioteki w Medyce — szczególnie to, co opowiadał Wyrzykowski! Niestety, pamięć ludzka bywa zazdrosna i trudno z niej nieraz wyciągnąć szczegóły, których potrzebują ci, co nie słyszą takich opowiadań na żywo! Myśmy wiedzieli, poznawali człowieka i zdarzenia, zapominali szczegółów, a zdobywali pewność, nie myśląc o tym ze zdałoby się zapamiętać i szczegóły, aby je podać dla upewnienia innych. Nawet ja, choć miałem zawsze archiwalne inklinacje, wypuszczałem z pamięci masę rzeczy. Jeszcze bardziej wypuszczałem, kiedym notował. A teraz, ten czas wojenny, te dziesięć lat, jak zniszczyły, albo zawieruszyły wiele zapisków, tak zatarły i przesłoniły pamięć. A trzeba było jeszcze uzupełniać i notować poza nim. Bo z jego opowiadań nigdy nie uwydatniała się dostatecznie rola jaką sam odegrał w wypadkach. Pamiętał o innych, złych i dobrych, o sobie tylko okolicznościowo. Tak np. ani z jego opowiadań, ani z tego co się dotąd wie, nikt nie zdaje sobie sprawy z kapitalnego znaczenia osobowości Wyrzykowskiego w przełomowej w dziejach psychicznych społeczeństwa polskiego chwili, w czasach „Młodej Polski" w Krakowie.



St. Wyrzykowski w Medyce

Nie czas tu, ani miejsce na szczegółowy przegląd tych spraw. Ale pozostanie ważnym zadaniem badań kultury narodowej oświetlenie tego punktu węzłowego i wielu jego zwrotnic, zbadanie kulisów zmagań ówczesnych o duszę polską. Na Polskę szła wtedy fala materialistycznego liberalizmu „fin-de siècle'u", odzianego w sybarytystyczny hedonizm sztuki dla sztuki. Z jednej strony ważyło się w jakim kierunku zużytkowane będą pierwiastki pozytywistyczne, zadomowione u nas od pół wieku, z drugiej strony pustki materializmu szukały wypełnienia narkotykami jałowego estetyzmu. W oparach absyntu i haszyszu, po równi pochyłej zjechała plugawa przybyszewszczyzna. Zjechała z Niemiec do Krakowa. Ten deprawator samego Strindberga, jak sam Strindberg wyznaje, typ o którym autor Alrauny, Evers, pisał że nie znał bardziej niemoralnego odeń człowieka, satanista który się przyznawał do zamordowania pierwszej swojej żony, a moralny sprawca śmierci drugiej, był w prostej linii spadkobiercą niemieckich romantyków. Polsce jednak inną na szczęście spuściznę zostawił romantyzm polski. Podniósł ją Wyspiański. Obaj znaleźli się — bok w bok przy sobie w krakowskim „Życiu". — Czyn Wyspiańskiego jednak wyrażał się tylko w twórczości. Bystry, krytyczny, ale nie stworzony do codziennych posunięć. Znosili się wzajemnie, bo każdy szedł swoimi drogami. Zresztą w epoce leżał jeszcze estetyczny liberalizm, a „Przybysz" nie był agresywny. Przy Wyspiańskim skupiały się już pewne koła. „Życie" jednak przy braku wyraźnego oblicza i z braku środków, poczęło dogorywać. Wtedy zjawił się Wyrzykowski.

Wyrzykowski w roku 1897 miał lat 27. Przodkowie jego osiedli byli ostatnio na Podkarpaciu, w Małopolsce Wschodniej. Pan Stanisław zacząwszy w Krakowie od medycyny, skończył na wydziale filozoficznym. Przez parę lat pisywał do „Czasu" krakowskiego. Teraz wszedł do „Życia", kupił je od Sewera i włożywszy przy pomocy teścia swego K. Deikego, zasłużonego współzałożyciela Kasy Mianowskiego, znaczny stosunkowo kapitalik objął naczelne kierownictwo. Słowa Przybyszewskiego, iż od jesieni 1898 był jego redaktorem, są o tyle nieścisłe, że faktycznie całą istotną pracę, redakcyjną pełnił sam właściciel „Życia", Wyrzykowski. Niewątpliwie samo przestawanie ze sobą tych dwu ludzi nie mogło obyć się bez pewnych tarć. Ale Przybyszewski wolał raczej schodzić z drogi. W każdym razie formalne tolerowanie obok siebie Przybyszewskiego, czego trudno było w danych warunkach uniknąć, nie wyszło zdaje się na korzyść pismu.

Przybyszewski miał jedną dobrą stronę. O ile mi wiadomo każdemu oddawał sprawiedliwość, tymbardziej więc tam, gdzie go to nic nie kosztowało... „Pewno ani ja (—pisze w „Moi Współcześni". Wśród swoich") ani kochany Wyspiański nie zdolalibyśmy utrzymać „Życia" przy życiu, mimo że Wyspiański z coraz większym uporem twierdził, że pieniądze znaleźć się muszą, gdyby się nie był nagle zjawił na naszej widowni artysta o wysokiej literackiej kulturze i o środkach pieniężnych, Stanisław Wyrzykowski... Skąpą była twórczość Wyrzykowskiego, acz wytworną, przynajmniej w tych paru poematach, które w „Życiu" ogłosił, niemniej ukochał fanatycznie sztukę, a zaiste niemałe poświęcenia dla niej robił — jeżeli jakąś część swego majątku ofiarował „Życiu", to doprawdy nie dlatego, by zrobić jakiś interes, bo zbyt dobrze znał stosunki by nie wiedzieć że wszystko co daje idzie à fond perdu, — ale jedynie z tej bezinteresownej miłości, do jakiejś rzeczy którą się ukocha, a zarazem wie doskonale, że trzeba dla niej ofiarę ponieść".

Dalej pisze Przybyszewski o nagonce na „Życie" i o replice Wyrzykowskiego. Ataki te jednak nie pomogły pismu... „To, co W. mógł łożyć (z najwyższym uznaniem wypada mi podkreślić jego bezinteresowną ofiarność, jego fanatyczne ukochanie sztuki, dla której byłby gotów wszystko poświęcić — jakże małym i błahym był wobec tego zatarg, który nas rozłączył!) nie mogło na długo starczyć, bo W. nie był ogłędnym gospodarzem gdy o „Życie" chodziło, ale w miarę jak już pismo dochodziło do tej wyżyny, że mogło się zrównać z jakimkolwiek europejskim pismem, topniały środki, a bezustanne konfiskaty cenzury krakowskiej, przegryzały młode korzenie jakimi, jakby się zdawało „Życie" w duchową potrzebę społeczeństwa wrastać poczęło." — Nie ma pod ręką odnośnych materiałów co do istoty tych zatargów z cenzurą. Pęk światła na wewnętrzne konflikty grupy Wyrzykowskiego z Przybyszewskim rzuca, o ile pamiętam, artykuł Nowaczyńskiego w „Prosto z Mostu" p.t. „Przybysz" (egzemplarz w Bibliotece Ak. Um. w Rzymie). Jakieś także szczegóły podawał — naturalnie ze swego punktu widzenia — w „Wiadomościach Literackich" Boy.

Po likwidacji „Życia" Wyrzykowski był z rodziną przez parę lat zagranicą. Tam poznał się bliżej z szeregiem luminarzy świata literackiego i artystycznego Niemiec i Francji. Głównie przebywał w Monachium, jeździł też często do Paryża, i do Włoch, które uwielbiał. W latach 1902-7 był członkiem redakcji warszawskiej „Chimery", gdzie ukazywały się jego wiersze zebrane później w książce „Plon życia". Inne z nich były także w „Maskach" i „Roku Polskim", a później także w „Myśli Narodowej". Przełożył kilka tomów dzieł zbiorowych Nietzschego, bajki Kiplinga, cztery tomy opowieści Poego oraz Conrada „Nostromo" i część tomu „Opowieści Zasłyszane". Miałem z nim szczególnie bliski nam obu teren współżycia. Był fanatycznym wielbicielem Słowackiego. Jemu też zawdzięcza się jedno z wydań Pism Mistycznych Słowackiego. Najbardziej jednak interesującą była jego inscenizacja „Samuela Zborowskiego" pod tytułem „Lucyfer", który wystawiać miał Teatr Narodowy w Warszawie, czemu jednak trudności czasów przeszkodziły.

W roku 1909 osiadł z rodziną w Zakopanem, później we własnym domu na Gubałówce. W domu tym podczas wojny poprzedniej zbierało się grono zwolenników przeciwniemieckiej polityki Dmowskiego. Byli to ludzie obozu narodowego. Stale wśród nich bywał Kasprowicz. Problemy jednak rozmów nie miały charakteru partyjnego. Toteż częstym gościem na tych zebraniach bywał i Stefan Żeromski. Po wojnie

Dokończenie na str. 4

WYRZYKOWSKI

Dokończenie ze str. 3

w r. 1919 trzeba było dom sprzedać gdyż dzieci z matką na studia wyjechać musiały do Poznania, a Pan Stanisław do Warszawy wezwany na naczelnika wydziału w Min. Kultury i Sztuki, którym był w ciągu dwu lat następnych, zanim połączył się z rodziną w Poznaniu i wreszcie wrócił po paru latach w Tatry... jak każdy wraca kto może i komu się co innego uprzykrzy. — Stamtąd to na długie miesiące przyjeżdżał do Medyki.

Patrzałem na jego pracę. Budował wielką trylogię historyczną, „Moskiewskie Gody", rzecz o Dymitrze Samozwańcu, a raczej o Dymitrach. Jest to powieść, tak mocno i solidnie oparta na źródłach historycznych że przestaje mieć charakter czystej fantazji. Jest to raczej historia ujęta w formę powieści. Dzieło imponuje ogromem pracy włożonej w litą, piękną, skończoną konstrukcję artystyczną, cieszy i krzepi samą tężyzną roboty. A przecież w ten obraz historii zdołał autor włożyć żywość koncepcji szczegółów, świetnie skonstruowane opowiadania batalistyczne, naoczność dramatycznych scen na Kremlu. Czekaliśmy niecierpliwie wyjścia dalszego tomu, który znaliśmy z ustępów, drukowanych potem w odcinku „Kuriera Poznańskiego" i plan części trzeciej ukończonej już przed samą wojną.

Nieskazitelny język polski, szeroki, jędrny styl cechują Wyrzykowskiego. Taki sam język w prozie jak w sonetach. Może się komu jego poezje wydadzą zbyt sztywne, może tchnące jakby chłodem Parnasu. Było to piętno epoki, z którym poezja tego czasu łamała się wszystkimi siłami. Łamał się z nim Kasprowicz w prometejskich wysiłkach, aż w późnych latach z porohów „Pieśni Wieczornej" wypłynął na ciche wody „Księgi Ubogich". Nie łamał się Wyspiański, bo ten wielki duch wogóle nigdy wiersza porządnego nie napisał, ale przez bylejaki powiedzieć zdołał wszystko, co miał do powiedzenia. Wyrzykowski umiał pisać, ale wiersz go więził. Kto jednak zagłębi się nad „Plonem Życia", ten zrozumie, że to nie jest ani koturn, ani sztukateria ,od jakich nieraz nie bywali wolni młodsi nawet poeci Młodej Polski. To jest jakby mundur zapięty porządnie pod kołnierz... nie— to jest bezkompromisowy nakaz ładu, którego rygor wewnętrzny umiał poeta przenieść przez wszystkie monachijskie kawiarnie, wszystkie pokązy oglądanego nieładu. A we wnętrzu tych form dosłuchać się można bicia gorącego serca ,którego nic nie zdołało zatłumić — tym mniej zaś żaden dekadencki ekshibicjonizm Przybyszewskiego, na który Wyrzykowski, rzecznik kultury polskiej, patrzał z nieodmiennym obrzydzeniem.

Dotknęła mnie, we Włoszech jeszcze, ciężko wiadomość o zgonie Pana Stanisława, która okazała się przedwczesna. Żona moja korespondowała z nim i widziała go jeszcze w Polsce w roku 1942. Pytał serdecznie o dzieci, przesłał mi przez nią ostatnie pozdrowienie. Odtąd straciliśmy z nim kontakt i tylko pośrednio dochodziły nas wieści że jest w bardzo ciężkim położeniu, ale że mimo zimna i głodu pracuje ciągle w skupieniu i zawzięcie. Poważne, smutne oczy jego, jak zawsze pełne troski, jakby pod chmurą wszystkiego co widział i czego doświadczył, ale w nich nie gasły blaski świadczące, że przeczuwał i wiedział napewno do końca, że przyszłość będzie nasza... Żóraw. —

Michał Pawlikowski

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

POPRZEZ PIĘKNO DO PRAWDY:
JULIUSZ SŁOWACKI

Poniżej drukujemy przemówienie p. prof. W. Folkierskiego, wygłoszone w dniu 1 kwietnia b.r. w czasie akademii, urządzonej z powodu setnej rocznicy zgonu Juliusza Słowackiego oraz kazanie X. Rektora W. Staniszewskiego, wygłoszone w czasie uroczystej Mszy św., odprawionej w intencji duszy Poety 3 kwietnia b. r. w Kościele Polskim w Londynie przy 2, Devonia Rd.

REDAKCJA

NIE może być mowy o tym, bym w kilkunastu minutach, którymi rozporządzam, mógł w jakąkolwiek konstrukcję myślową powiązać to, co bym o Słowackim i naszym do niego stosunku w ciągu tych lat stu po jego zgonie chciał powiedzieć. Muszę się tu z konieczności ograniczyć do paru najogólniejszych spostrzeżeń. Gdyby się te uwagi same w pamięci słuchaczy powiązały w całość, bardzo byłbym rad.

1.

Szukając takiej najogólniejszej cechy, która by w sobie objęła i Słowackiego i znaczenie jego dla narodu, wysuwam określenie następujące: Słowacki stał się w ciągu tego stulecia dla swych rodaków głównym nauczycielem i inicjatorem—Piękna.

Nie poszło to łatwo. Była to dla Polaków doba niewoli i godzina próby. Preokupacje myślowe, troski i drogowskazy były dla nas zupełnie inne. Sprawy związane z pięknem mogły uchodzić za luksus. Ująwszy całe to zagadnienie w skrócie rzec by można, że między wieszczem i prorokiem Mickiewiczem a poetą-filozofem Krasińskim, Słowacki istotnie zajmował się głównie wykuwaniem swojej drogi poetyckiej. Żaden inny z polskich poetów nie ośmielił się w tej dobie niewoli na tak otwarte i tak bezkompromisowe oddanie się w służbę poezji i sztuce.

Nie oznacza to oczywiście, by w w dziele tamtych dwóch, a zwłaszcza Mickiewicza, nie było ogromu piękna. Ale piękno u Słowackiego było bardziej pięknem w sobie. Nawet wtedy, kiedy to piękno na równi z wszystkim innym będzie u Słowackiego z ducha i dla ducha, nawet wtedy będzie ono dla poety stanowiło główne okno na świat, na świat ducha, na świat myśli i na świat czynu. Żaden poeta polski nie był tak bardzo poetą i z Bożej łaski i z zamierzenia i z całożyciowej żelaznej woli.

Istotnie, jeżeli Słowacki do swego dzieła doprowadził, to dlatego, że od najwcześniejszej młodości do tego doprowadzić chciał. Wiadomo, jak na kartach młodzieńczego pamiętnika i w listach do matki zamiar ten się przejawia z jaką naiwnością i entuzjazmem. Zaprzedał on wtedy poezji jeśli nie swoją duszę, to w każdym razie swe życie i swe szczęście. Wszedł wtedy w jakiś młodzieńczy pakt z Losem czy z Bogiem mocą którego godził się oddać swoje szczęście, swój spokój i swe życie za cenę tego, by po śmierci uzyskać nieśmiertelność jako poeta. Odrzucając w tym nalot romantyzmu i entuzjazm młodości, zostaje i tak rzecz najważniejsza, a mianowicie wczesny świadomy zamiar poświęcenia życia poezji. Najistotniejsze jest to, że się ten zamiar urzeczywistnił. Historyk dziś stwierdzić musi, że od bardzo wczesnych lat Słowacki się wychował, potem rozwinął i wreszcie się zagospodarował w poezji i sztuce jako sobie najwłaściwszej ojcowiźnie. Całe życie konsekwentnie będzie tą drogą kroczył. W tych dniach dziś i jutro i pojutrze upływa sto lat od chwili, kiedy nietyle już słabnącą ręką ile gasnącym tchem dyktował Felińskiemu, w tych ostatnich trzech dniach swojego życia, w jakim porządku przepisywać ma oktawy **Króla Ducha**.

Nie co innego, jak właśnie bijące z młodych utworów Słowackiego zamierzenie oddania się bez reszty poezji i sztuce, było powodem owego ostrego sądu Mickiewicza, który tak Słowackiego zabolał. Jak wiadomo, Mickiewicz widział w tych utworach piękny ale pusty kościół, w którym brakuje Boga. Mimo pozornie krzywdzącego sądu, Mickiewicz spojrzał bardzo głęboko w młodzieńczą poezję młodego Słowackiego. Zauważył tam piękno, bezsprzeczne i niezmierne piękno, a jeśli nie zauważył Boga, to dlatego, że Go istotnie tam nie było, bo ostatecznym celem tych wierszy było piękno samo w sobie. I ono tylko w tej świątyni królowało.

Przełomem stał się Słowackiemu śliczny **Kordian**, a stał się nim dlatego, że zamierzył tu poeta z Mickiewiczem rywalizować jako przewodnik narodu. Przełomowym był Kordian i dlatego, że bardzo szybko z zamiaru tego, niewczesnego jeszcze, poeta się wycofał i, wyjechawszy do Genewy, wrócił do twórczości samotnej i artystycznej. Jeszcze nie sztuka dla sztuki, ale już pewno poezja dla poezji. Mam swe wytłumaczenie faktu tej ucieczki do genewskiej samotni. I mam swą hipotezę dlaczego się tak stało. Ale nie należy to tu do rzeczy.

Nastąpiły potem lata Rzymu, podróży na Wschód i Florencja. Jeżeli Słowacki coraz więcej narodowi służył, to służył dalej pięknem i pracą dla ojczystej poezji. Tak było i w **Balladynie** i w **Horsztyńskim** i w **Podróży na Wschód** i w **Trzech Poematach**.

Będzie tak przecież i w **Anhellim**. Przy całym wstrząsającym przejęciu się losem ojczyzny i cierpieniem rodaków, Słowacki w tym cudownym poemacie prozą będzie dalej ojczyźnie służył zasługą poezji i piękna. Jak dalece mam rację świadczy następujące florentyńskie quadro zanotowane 21 sierpnia 1838 w liście do matki. Była to niedziela. Ranną pocztą odebrał był poeta z Paryża Anhellego. I oto co pisał do matki:

„Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie. Oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które tylko 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiąc, dziecko, słowem, które ja kocham bardzo i o którym zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc, porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie, ale mnie coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie — więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i, stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadła przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!"

Jakżeż bardzo, w tym roku 1838, autor **Anhellego** jest jeszcze poetą i tylko poetą.

Nowy przełom nastąpi z nowym pobytem w Paryżu. Podziała tu ponowne spotkanie oko w oko z Mickiewiczem i, bardziej jeszcze, szok towiańszczyzny.

Słowacki, jak wiadomo, odnajdzie tu swoją Prawdę, to co uzna za swoją mistyczną Prawdę. Tym mistycznym szlakiem kroczyć będzie do końca.

A jednak i tu nigdy nie przestanie być poetą. Przecież właśnie w tym mieści się główna różnica z Mickiewiczem: Słowacki-Towiańczyk nigdy nie złamię pióra. Czytając, nie mówię już Beniowskiego, ale wszystkie wcielenia jego Księcia Niezłomnego, a więc **Księdza Marka, Zawiszę Czarnego, Agisa, Księcia Michała Twerskiego**, czy też **Genezis z Ducha**, czy wreszcie wszystkie wcielenia **Króla Ducha**, — nie można oprzeć się wrażeniu, że ta prawda stała mu się prawdą przede wszystkim dlatego, że była piękną.

Oczywiście ani na jedną chwilę nie chcę przez to powiedzieć, żeby on w swą prawdę nie wierzył jako w prawdę. Wręcz przeciwnie. Wiadomo jak bardzo sam Słowacki do końca się doskonalił, przetwarzał i przeanielał.

Niemniej przez cały ten okres mistyczny ma się dalej wrażenie, że drogą do tej prawdy była mu dalej droga piękna, poezji i sztuki. Jest to tak dalece prawdziwe, że dojdzie do takiego skrótu myślowego i takiego, prawie powiedzieć by można, krótkiego spięcia duchowego, iż Słowacki głos poetyckiego natchnienia uzna za głos duchów, wręcz za głos Ducha Świętego. I przekonanie to posunie tak daleko, że nie zechce poprawiać tego, co pod takim dyktatem napisał.

Innymi słowy, poezja została wniesiona tu na tron Boski. Raz jeszcze, w świątyni poezji Słowackiego króluje nie kto inny, tylko poezja. Pozornie kościół ten jest mniej pusty, w rzeczywistości po dawnemu, tak jak w pierwszym rzucie tej świątyni, na tronie, by nie rzec na ołtarzu, zasiadła tam poezja, tym razem żarliwością mistyczną przepojona i Boga pełna.

Mam na to dowód: oto Słowacki poezją swoją gadał z Panem Bogiem i był przekonany, że mu Pan Bóg odpowiada. Tak było z **Księciem Niezłomnym**, o którym pisał do matki w dniu 30 listopada 1844 roku. Było to tuż po zwycięstwie Marszałka Bugeaud nad Marokańczykami pod Ouchda'ą:

„Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział; pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna; w kilka godzin upadło przed Nim tangierskie mocarstwo".

Nawiasem powiedziawszy, mieści się w tym oświadczeniu głosem Chrystusa jakby przesilenie ideału bierności Anhellego.

Są więc znakomite powody, dla których powiedzieć można, że i w tych latach mistycznych głównym źródłem prawdy Słowackiego były piękno i poezja.

Tak tedy został Słowacki wierny swojej przysiędze lat młodych, jaką złożył poezji. Zabrał ją ze sobą do Empireum — jak Dante Beatrycze. Wszak pisał do matki w lutym 1845 r. te zastanawiające słowa: „...przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani **W Szwajcarii** ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z III Aktu **Salomei**, albo też Wernyhory dramę w piątym."

Mógł on więc w miarę lat porzucać i przezwyciężać poszczególne etapy swojej poezji, ale do końca, do samego końca kroczył ku swej prawdzie, ku Chrystusowi, drogą swojego coraz to bardziej świetlanego piękna.

2.

Wiek, który upłynął od śmierci Słowackiego, jest, bez przesady, wiekiem jego triumfu i podboju narodu przez jego poezję.

Odpowiedź narodu na zew poezji Słowackiego miała być istotnie wspaniała. Nie poszło to łatwo.

Należy tutaj powiedzieć, że nigdy poezja Słowackiego nie stała się, i prawdopolobnie nie stanie, własnością całego narodu tak, jak to miało miejsce z poezją Mickiewicza. Brakuje jej do tego najważniejszej cechy mickiewiczowskiej poezji — prostoty. Słowackiego poezja przeznaczona jest dla wybranych, dla tych, którym poezja sama przez się jest droga.

Słowacki o tym wiedział i, całe życie zapatrzony w Mickiewicza, na tym cierpiał.—Jest jeden jego list do matki z lutego 1845, który zestawić można ze znanym prologiem do Pana Tadeusza:

... Wystaw sobie chłopaka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą za sto lat w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie szczęśliwy, ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta Balladynę. Ten utwór bawi go, jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze Lillę, to samo... Otóż dla tego chłopka jest Salomea, Ksiądz Marek, Książe Niezłomny, ten książę, który mi kości wewnętrzne połamał, gdzie są pioruny poezji."

Sądzić wolno, że się tu poeta mylił, Salomea ni Ksiądz Marek pod strzechy nie zawędrowali.

W poezji Słowackiego jest coś w rodzaju **trobar cluz**. Jest ona trudna, zmuszająca do wysiłku i do pięcia się w górę. Walka z aniołem w poezji Słowackiego jest do dziś dnia żmudna. Póki istnienia języka polskiego, trwać będzie to zmaganie się z poezją Słowackiego, która dzięki cudowności języka przyciąga i zmusza czytelnika do wdzierania się po ukryte znaczenie. Póki istnienia języka polskiego, nigdy język Słowackiego nie będzie trącił myszką.

Triumf Słowackiego nie przyszedł łatwo. Na jego pogrzebie było niewiele osób, wśród których nie było Mickiewicza.

Z tych kilku najbliższych ludzi, któż mógł przekazać potomnym pochodnię entuzjazmu i zrozumienia dla niedocenianej i niedostrzeżonej poezji Słowackiego? Zapewne Norwid. Ten Norwid, o którym Słowacki powiedział te zastanawiające słowa, że „Należał do takich, którzy nic ode mnie wziąć, ani mnie dać od siebie nie mogą". Nie znam udziału Norwida w krzewieniu zrozumienia dla poezji Słowackiego i nie sądzę, by temat ten był opracowany. Feliński? Zachował nam śliczny opis śmierci Słowackiego, ale i niewiele więcej, bo to nie była jego sprawa. Wreszcie Kornel Ujejski. Należy tu stwierdzić, że ani autor **Skargi Jeremiego**, które Słowacki znał, ani autor **Melodii Hebrajskich**, ani autor transpozycji poetyckich szopenowskich melodii nie był predestynowany i predysponowany do egzegezy poezji Słowackiego. Zainteresowany on był raczej przekazem proroka i wieszcza, a nie poety.

Pozostawała przy życiu na lat sześć wierna westalka pamięci poety, jego matka autorka w romantycznym stylu utrzymanego grobowca na cmentarzu Montmartre, a też i poważnej tablicy wmurowanej w kościele św. Anny w Krakowie: „...który walkę poezji ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości po chrześcijańsku w dniu 3 kwietnia 1849 zakończył — w żalu nieutulona matka poświęca". Napis mądry, mówiący właśnie to cośmy mu powiedzieli. Tak właśnie, walka poezji ku odrodzeniu się ducha ludzkości. Właśnie przez Poezję i Piękno Prawdy.

Ale na dobrą sprawę dla tego swego triumfu Słowacki mógł liczyć tylko na siebie.—I rzeczywiście okazało się, że pośmiertna puścizna poety była tak ogromna i tak bogata, że wnet po jego śmierci i na cały wiek następny co trochę naród dostawał stąd nowy pokarm duchowy. Tu właśnie kryje się ogromna zasługa Małeckiego, Artura Górskiego, Pawlikowskich i Kleinera. Właściwie to się jeszcze nie skończyło. Raptularz poety do dzisiaj dnia kryje dużo tajemnic.

Odpowiedź narodu w miarę pojawiania się arcydzieł z okresu mistycznego poety była wspaniała. Mimo książki Matuszewskiego „Słowacki a nowa sztuka", książki mającej już blisko swoje półwiecze istnienia, temat ten jest również nieopracowany. Głęboki wpływ artyzmu Słowackiego znać i na Felicjanie i na Asnyku i na Konopnickiej. Jest to głównie wpływ techniki i artyzmu wiersza i obrazu. Ale o ileż głębiej sięgnął ten wpływ w duszę Młodej Polski, a więc i na Tetmajera i na Kasprowicza i na Staffa. Przede wszystkim jednak na Stanisława Wyspiańskiego.

Jest dopełnieniem miary wielkości **Słowackiego, że zapłodnił następcę** o takiej potędze ducha i takiej oryginalności poezji, jak Wyspiański. Dług jego wobec Słowackiego jest przemożny. Od oktaw **Kazimierza Wielkiego** po Wernyhorę z **Wesela**, od **Legendy-Amfitryty** po kopułę św. Piotra z **Legionu** i **Beniowskiego**, wpływ ten widoczny jest wszędzie. Twórczość Wyspiańskiego przypieczętowała jakby wiekiem dwudziestym nieśmiertelną, wiecznie żywą puściznę Słowackiego.

Istotnie bez żadnej przesady powiedzieć można i należy, że całożyciowy, świadomy, aktem woli będący bój Słowackiego o poezję porwał za sobą cały naród — w znaczeniu kultury duchowej — i zmusił i poetę i czytelnika polskiego do pięcia się w w górę po jakubowej drabinie, którą mu Słowacki rzucił.

Chciałbym tu kilka słów dorzucić o tak zwanej „bluszczowości" Słowackiego o której się tyle mówiło i i mówiło. Muszę stwierdzić, że mówiło się nagół lekkomyślnie. Zarzucano mu—oto uczynił to pierwszy Cyprien Robert, zastępca Mickiewicza na katedrze w Collège de France po zawieszeniu jego wykładów — że bardzo często owija swoją poezję o cudze pomysły. Nie zauważano przytem, że niejednokrotnie, a właściwie prawie zawsze Słowacki znalazłszy taki zaczątek u innego poety, rozwi-

Dokończenie obok

X. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI

„ŻYŁEM Z WAMI — CIERPIAŁEM Z WAMI"

ZMARŁ dokładnie sto lat temu. Był Wieszczem narodu. Był człowiekiem na wskroś religijnym, jak o tym świadczą jego „Listy do Matki" czy pieśni takie, jak: „Pieśń Konfederatów Barskich", czy „Tak mi Boże dopomóż", czy „Smutno mi Boże", ale i cały szereg pism prozaicznych i poezyj, które wyjść mogły jedynie spod pióra człowieka na wskroś wierzącego. Stwierdziły to zresztą ostatnie chwile życia jego, jak je opisuje naoczny świadek jego zgonu, przyjaciel, późniejszy arcybiskup Feliński.

Aby zaś z wiarą Słowackiego pogodzić niektóre jego utwory, w których niemile uderzają nas złośliwe uwagi przeciwko duchowieństwu i ataki na Rzym i papiestwo, któremu przypisuje nawet zgubę i upadek Polski, musi się zrozumieć jego chwilowe rozdrażnienie, wejść do głębi duszy poety i „być w nim, a nie z nim", jak mówi Mickiewicz. „Na mnie — mówi Słowacki — Bóg rzucił jakieś przekleństwo... serce moje żywię okruszynami uczuć... i w moich uczuciach niema nic wielkiego oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności". A na innym miejscu pisze znów do matki: „Odkrywam nieznany Ci jeszcze rys swego charakteru, t.j. que je pose quelquefois devant le monde, jak gdyby do portretu". „Natura moja — pisze — pełna jest błyskawic... z tych wszystkich świateł zrobię sobie kiedyś wianek na czoło i tak zostanę".

Poza i próżność zasłaniały Słowackiemu Boga, działającego w Kościele i w duszach ludzkich. Widział on Go natomiast w sobie i w przyrodzie. Spoglądał na Niego przez pryzmat własnego geniusza, własnej twórczości i talentu. Katolicyzm jego z pierwszego okresu jest bardziej swojski niż dogmatyczny, bardziej polski niż kościelny. „Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny" — pisze w roku 1838. A do matki znów tak się wyraża: „Nie mówię, aby mi to łatwo było — abym nie staczał walk z sobą i częścią dumną mojego ducha, który się ułożył i ustroił podług świata".

Pierwsze utwory Słowackiego określił Mickiewicz jako poezje podobne do „pięknego kościoła, w którym nie ma Boga", ale w roku 1845 pisze Słowacki do matki te słowa: „Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła moich poezji. Jam to wszystko przełamał, uporniе idąc krok za krokiem, **nie artykułami**, ale samym wnętrzem pism swoich".

Serce jego było rezonansem wszystkich uczuć i przeżyć, jakich w tym czasie doznawała Polska, w której panoszyło się trzech zaborców. Jego rozum i wola ogarniały cały ówczesny świat. Pragnienia zaś jego sięgały nieba samego. To też treść sprawy narodowej poczyna przesuwać akcent jego zainteresowań na problemy głębsze, wiązane z niewolą Polski i z myślą o jej zmartwychwstaniu.

Napięcie religijne u Słowackiego, początkowo słabe, rozwija się jednak i potęguje. „Niech będzie chwała Bogu — pisze do matki — że mi dał zamiłowanie w tem, co nie przemija i co nie jest śmierci podległe". A w wierszu „Tak mi Boże dopomóż" tak oto pięknie odmalował ten zupełny zwrot swej duszy do Boga:

„Idea wiary nowa rozwinęta
W błyśnieniu jednym zmartwychwstała we mnie.
Cała gotowa do czynu i święta..."
„Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem.
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste, Panie Boże!"

*

Słowacki był jednym z tych wieszczych duchów, które Bóg w Opatrzności swojej zsyła zagrożonemu przez wrogów krajowi dla uratowania jego ducha narodowego, które pochodnią geniuszu i iskier Bożych przeświecają uciemiężonemu narodowi na jego mozolnej drodze ku wyzwoleniu i wolności, które wskazują bramę wiodącą do zwycięstwa.

Czas, w którym wypadło Słowackiemu żyć, był w sferze międzynarodowych stosunków politycznych i rewolucyjnych równie ciemny i ponury, równie groźny i haniebny, jak dziś.

Jako poeta z Bożej łaski, przez swe specjalne uzdolnienie, czuł co nurtowało w sercach milionów. Przez kilka lat w głębokich przemyślaniach dociera on do sensu życia, do jego religijnego podłoża, do zrozumienia myśli Bożej w dziejach ludzkości. Zagłębia się w mistyczne dociekania, w których nieraz błądzi, ale rychło wychodzi na drogę prostych i jasnych stwierdzeń i najgłębszego podporządkowania się Bogu.

„Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną".

Ma niezmożoną wiarę: w miłosierdzie Boże i w zmartwychwstanie Polski. Gdy myśli o zmartwychwstaniu Ojczyzny i jej ponownym zerwaniu się do życia, rozumie, że nie może się to dokonać jedynie działaniem ludzkim, że przede wszystkim Bóg to musi sprawić, bowiem On rządzi losami ludzi i narodów. Rozumie, że ponad wszelką dyplomacją i polityką unosi się odwieczna Mądrość i Sprawiedliwość Boża, że wbrew nieraz i naprzekór ludzkim poczynaniom Bóg swoje przeprowadza plany, a plany Jego są zawsze na wielką skalę i na daleki dystans czasowy.

Po długich rozmyślaniach, pozbywszy się swego egotyzmu i swego wybujałego indywidualizmu, sprawę Bożą i sprawę polską splata w jedno i daje wyraz tej prawdy swego narodu. Znajduje ona swe odbicie w jego poezji, w potężnych strofach wiary w Wszechmocnego Boga.

„Bóg naszych Ojców i dziś jest z nami!
Więc nie dopuści upaść w żadnej klęsce.
Wszak póki On był z naszymi Ojcami,
Byli zwycięzce".

... ...

„Widzę wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażby szedłszy szedł przez morze...
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!"

Oddając testament tej wiary rodakom, zaklinał ich, aby tę prawdę rozumieli. Gdy przyjdzie potrzeba, Polak złoży Ojczyźnie swoją krew i życie. Jak głosi w „Pieśni Konfederatów":

„Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi!
Bo u Chrystusa my na ordynansach
Słudzy Maryi!
Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą.
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie ukląkniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą".

Im bliżej końca żywota tego wielkiego mistrza słowa, tym większa zgodność z duchem i treścią Kościoła Katolickiego. Największy liryk polski nabiera cech anhellicznych, wielkiej czystości i promienności nietylko w swej sztuce ale i w swoim życiu. Ostatnie jego chwile i okoliczności śmierci są wspaniałym wzorem śmierci chrześcijanina, wiernego syna Kościoła.

*

Pokolenie do którego należał Słowacki, żyło w niewoli lub na emigracji. Walczyło o niepodległość. Słowacki umiał po mistrzowsku wyrazić tę wielką i tragiczną, ale pełną nadziei treść tych czasów. Tak Bóg zrządził, że w sto lat później nasze pokolenie znajduje się w takiej samej, jeśli nie tragiczniejszej sytuacji, jak pokolenie Słowackiego. Dlatego też dziś, kiedy wspominamy pamięć wielkiego poety w setną rocznicę jego zgonu, z głębokim wzruszeniem odkrywamy z pism jego, że wypowiedział on również nasz los, naszą tragedię, nasze niepokoje, nasze nędze i nasze nadzieje. Staje się on nam przez to bliższy i jeszcze dokładniej śledzimy drogi jego życia i rozwój jego myśli.

Z jakimże rozrzewnieniem czytamy jego wiersz „Do Matki":

„Wiem, że wróceniem moim lat bym ci przysporzył;
Wszakże, gdy cię spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn mój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca.
Oczy zwraca ku tobie ... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli tutaj konać — niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!"

Bronią walczącą o niepodległość jest jednak w pojęciu Słowackiego przede wszystkim ulepszenie charakteru narodowego, własne uświęcenie, własna wielkość wewnętrzna. Przemiana wewnętrzna, ale także każda ofiara zewnętrzna, jakiej domaga się Bóg i Ojczyzna: „W świętości twojej leży wyzwolenie ducha i moc jego przeszła i mądrość i forma czynu wielkiego i zwycięstwo i moralność i wyzwolenie spod jarzma fałszu i mocy".

Wszystko to jest przejmująco aktualne i na dziś.

Cóż możemy dodać do tego, my biedni tułacze i bojownicy o sprawiedliwość chrześcijańską i o pokój Chrystusowy w sto lat po tamtym pokoleniu? Chyba tylko przypomnieć sobie i przyswoić krzepiące słowa nadziei, jakie Słowacki wypowiedział w swym „Testamencie", w „Anhellin" i w „Listach do Matki":

... ...

„Żyłem z wami—cierpiałem z wami":
„Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec".

... ...

„Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć nas będą"
„Miejcie nadzieję; bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych".
„A to, o czem myślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania".

... ...

„Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie".

X. W. Staniszewski

ja go do niepoznania, przemienia go i przedzierzga w zupełnie nową, nawskroś oryginalną w wykonaniu koncepcję. Krytyka i egzegeza twórczości Słowackiego nie może ograniczać się do wykrywania źródeł ale musi wyjaśniać i podkreślać jaką drogą z takiego źródła powstało pod piórem Słowackiego arcydzieło.

Na tym właśnie polegało zmuszanie czytelnika polskiego do pięcia się w górę po rzucanych mu przez poetę szczeblach artystycznej kultury.

Chciałbym zaryzykować tu porównanie, które wciągnie w swoje zestawienie obie nasze wielkie rocznice tegoroczne.

Jest pewien wspólny rys alchemii artystycznej i pewna kontrastowość między sztuką Słowackiego a sztuką Chopina

Jak postępował Chopin? Zebrał on oto i wywiózł na wygnanie pamięć o szumie mazowieckich sosen, o siwym smętku widnokręgu polskiej równiny, o kujawiakach i mazurkach wykwitających jak polne kwiaty na tych mazowieckich górach i wszystko to razem przełożył na iście międzynarodową mowę zrozumiałą i bezpośrednio dostępną dla wszystkich bez wyjątku narodów. Ktokolwiek na szerokim świecie ulega czarowi chopinowskiej muzyki, ten mimowiednie zaciąga się głębokim tchem polskości.

Co robił Słowacki? Oto na całożyciowej drodze rozwoju własnego talentu poetyckiego, zbierając jak pszczoła swą treść u Dantego, u Szekspira, u Vigny'ego i ponad wszystko u Calderona,, wciągał ją organicznie w siebie i przemieniał w niezmiernie nowe całkowicie oryginalne kwiaty poezji. I tak się dzieje, że, podobnie i przeciwnie niż u Chopina, to co Słowacki znajdował w obcych poezjach to przetwarzał na najszczerzej polską treść. I dziś, czytając Słowackiego musimy skonstatować, że i Dante, i Vigny, i Calderon wsiąknęli organicznie w polski widnokrąg poetycki i polską artystyczną glebę. Oto dlaczego tak niezmiernie wydatnie przyczynił się Słowacki do podniesienia poziomu polskiej twórczości poetyckiej. Nie sposób było po Słowackim pisać tak jak się pisało przed Słowackim.1)

Wszystko to razem przewidział był poeta:

„Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść, taką obojętność jak ja mieć dla świata?
Być sternikiem duchami wypełnionej łodzi
I odlecieć tak cicho, jak duch gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mnie żywemu na nic, tylko czoło zdobi.
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Jeżeli prawdą jest, że główną funkcją aniołów jest kontemplowanie piękna, udało się istotnie poecie nas, zjadaczy chleba, do takiej metamorfozy częściowo chociaż doprowadzić...

*

Jeszcze jedno słowo. Przed paru dniami wpadł mi w rękę numer marcowy miesięcznika angielskiego „Research" poświęconego naukom ścisłym. Znajduje się tam artykuł znakomitego fizyka francuskiego, laureata Nobla, autora doniosłych prac o falowej teorii materii księcia Ludwika de Broglie. Jest on coprawda również i prawnukiem pani de Stael. Zastanawia się autor w tej pracy nad tajemniczymi związkami zachodzącymi między prawdą a pięknem:

...„At all stages in the history of science, a feeling for beauty has guided and directed the minds of scientists in their researches. Mathematicians like elegant demonstrations and attach greater value to them than to others, as if beauty were an element in truth. ...Is there some mysterious link between truth and beauty—"

(...We wszystkich okresach historii nauki, jakiś zmysł piękna kierował umysłami uczonych w ich poszukiwaniach. Matematycy lubią piękne dowody i większą do nich przywiązują wagę niż do innych, tak jakby piękno było elementem prawdy... Czyżby istniał jakiś tajemniczy związek między prawdą a pięknem?).

Jest to stara platońska prawda, pełna tajemnicy, jak mit o Herze Armeńczyku leżący u progu Króla Ducha. Któż lepiej prawdziwości tej prawdy dowiedzie, jak nie po całożyciowym boju o poezję umierający w glorii zapomnienia i pół-aureoli świętości — Słowacki?

Władysław Folkierski

1) **Dodać do tego potrzeba, że po latach stu imię poety zaczyna być głośne zagranicą, w piśmiennictwie i francuskim i włoskim i angielskim i — niemieckim i rosyjskim. Jest to zasługa nie tłumaczy, bo Słowackiego tłumaczyć się nie da, ale tych cudzoziemców, którzy się w język polski wgryźli, Backvisów, Damiani'ch, Maverów i Rose'ów. Dowiedzie tego ich wkład w przygotowującą się Księgę Słowackiego.**

JAN WEPSIĘĆ

W POSZUKIWANIU ŹRÓDEŁ ŻYCIA I KULTURY

CHRISTOPHER DAWSON po całym szeregu interesujących prac z dziedziny religii, socjologii i kultury, jak: „Progress and Religion", „Religion and the Modern State", „Beyond Politics", „The Modern Dilemma", „The Judgement of the Nations", dał ostatnio wspaniałą **„Religion and Culture".1)**

Stanowisko, jakie Dawson zajął w stosunku do złożonego zagadnienia religii i kultury w ich wzajemnych historycznych zależnościach, wzbudziło i budzi wiele zastrzeżeń. Podnoszą je socjologowie, którzy traktują zjawiska religijne tylko jako pewne zjawiska społeczne bez odnoszenia ich do rzeczywistości innego rodzaju, bo zdaniem Dawsona tylko wtedy studium religii może być owocne, jeśli oprze się je o założenie obiektywnej prawdy. Zastrzeżenia zgłaszają także — jak się autor wyraża — teologowie dialektyczni, którzy stanowisko jego uważać będą za zbyt wąskie, bo ograniczone jedynie do zakresu teologoii naturalnej. Właśnie mianem teologi naturalnej można najbardziej określić n a u k o w y światopogląd Dawsona.

Jakaż jest budowa tego światopoglądu? Religię wywodzi Dawson z doświadczeń mistycznych. Doświadczenia te stanowią źródło poznania, które uważa za równie ważne jak doświadczenie rozsądkowe czy racjonalne (zależnie od nomenklatury systemu filozoficznego) — i to pozwala mu wyjść poza sferę psychologicznego i praktycznego studiowania zjawisk religijnych. Takie rozwiązanie pozwoliło Dawsonowi na stworzenie miejsca na wiedzę o religijnej prawdzie, t.j. na teologię naturalną.

Jakkolwiek teologia naturalna, będąca **filozoficznym i naukowym studium religijnej** prawdy, nie jest według niego dyscypliną kompletną i samowystarczalną, za jaką chcieli ją uważać filozofowie Oświecenia, to jednak spełnia niezwykle ważną rolę jako ogniwo między teologią i filozofią, między światem religii a dziedziną racjonalistycznego myślenia.

Omawianą książkę poświęcił Dawson zagadnieniu wzajemnego stosunku religii i kultury. Pogląd Dawsona na pochodzenie religii już znamy w najogólniejszym ujęciu. Jeśli o kulturę zaś chodzi to Dawson uważa, że tłumaczenie zjawisk kultury czynnikami przyrodniczego środowiska i rasy jest jednostronne i niewystarczające. Jego zdaniem z daleko większym prawdopodobieństwem można dowodzić, że właśnie rasa jest produktem kultury.

Religia jest dla Dawsona siłą twórczą w dziejach kultury, siłą, która współdziałała w wysokim stopniu w powstaniu i wykształceniu się wzorów kulturalnych w ciągu czasem dziesiątków wieków. Sekularyzacja kultury jest właściwie zjawiskiem występującym jaskrawo dopiero w dwu ostatnich stuleciach. Charakter i siła wpływu religii na kulturę najlepiej ujawniają się w rozwoju islamizmu: islam nie tylko przekształcił duchową kulturę ludów, które mu uległy, ale i ich życie społeczne i gospodarcze.

Rolę religii dla kultury ludzkiej przedstawia Dawson, omawiając trzy religijne instytucje, t.j. proroka w islamiźmie, kapłana — w religiach hinduskich, króla — w religii starożytnego Egiptu.

Wpływ religii na kulturę sprowadza on do dwu głównych działań: 1) jednoczącego w tworzeniu kulturalnych syntez, 2) odgrywającego rolę rewolucyjnej siły w okresach społecznych przemian. W analizie oddziaływania religii jako siły rewolucyjnej na jedno spostrzeżenie Dawsona zwrócić tu należy uwagę. Jego zdaniem sektarianizm rewolucyjny zwraca się nie przeciw panującej kul-

1) **Religion and Culture** by C h r i s t o p h e r D a w s o n, London, Sheed & Ward, 1948.

Dokończenie na str. 7

KALENDARZ

Maj 1949

1 n. — 2 po *W. Nocy, Filipa i Jakuba Ap.*
2 p. — Zygmunta, Anatazego
3 w. — *N.M.P. Król Polski, Św. Narod.*
4 ś. — Floriana, Moniki
5 c. — Piusa V. Nawr. św. Aug.
6 p. — † Jana w Oleju
7 s. — Benedykta, Ludomiły

II. NIEDZIELA po WIELKANOCY

Myśl przewodnia liturgii niedzielnej. Niedziela dzisiejsza nosi nazwę „niedzieli Dobrego Pasterza". Św. Piotr, którego Chrystus Pan po Swym Zmartwychwstaniu ustanowił głową i pasterzem Swego Kościoła, powiada w Lekcji, że Jezus jest pasterzem naszych dusz, które były jako błądzące owce. Ewangelia przynosi nam opowieść o dobrym pasterzu, który broni swych owiec przed wilkiem i daje za nie swe życie, chroniąc je od śmierci.

W oracji mszalnej modlimy się: „Boże, któryś przez pokorę Syna Twego świat z upadku podźwignął, racz wiernym Twoim nieustannej udzielać radości, aby ci, których od wiecznej śmierci wyrwałeś, wiecznego szczęścia dostąpili. Przez tegoż Pana."

Aż do dni krzyżowych, które przypadają na poniedziałek, wtorek i środę przed świętem Wniebowstąpienia, jako drugą modlitwę mszalny dołącza się w kolekcie, sekrecie i po komunii modlitwę do N. Marii P. oraz modlitwę za Kościół lub za Papieża.

LEKCJA z I. listu św. Piotra 2, 21—25. Namiestnik Chrystusowy na ziemi przypomina, że Zbawiciel cierpiał za nas, dając przykład poświęcenia się za innych. Sam będąc bez grzechu i zdrady poddał się w cichości niesprawiedliwemu sądowi i wziął na siebie nasze grzechy, abyśmy umarli naszym grzechom i abyśmy żyli jako ludzie sprawiedliwi. Zebrał nas jako zbłąkane owce Ten, który jest Pasterzem i Biskupem dusz naszych. (Greckie słowo „episkopos", od którego pochodzi nasze biskup, oznacza tego, który czuwa i strzeże a więc pasterza).

EWANGELIA według św. Jana 10. 1—16, Jezus mówiąc do faryzeuszów stwierdza, że jest pasterzem dobrym, który za swe owce daje życie. Nie jako najemnik, do którego owce nie należą i który ucieka przed wilkiem, zostawiając owce na jego łup. Jezus zna Swe owce i one znają Jego, podobnie jak Ojciec zna Jezusa, a Jezus zna Ojca. To też kładzie On swe życie za Swe owce. Również i inne owce, które nie są z Jego owczarni przyprowadzi Jezus, aby i one słuchały Jego głosu, i „stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz".

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Uganda przestanie być krajem misyjnym? Jak donosi tygodnik „Universe", protektorat brytyjski Uganda w Afryce być może wkrótce już przestanie być krajem misyjnym i otrzyma normalną organizację kościelną. (Będzie to oznaczać, że zamiast misyj będą tam utworzone normalne diecezje i parafie, oraz że zależność od Kongregacji Rozprzestrzeniania Wiary — rodzaj watykańskiego „Ministerstwa Misyj". — zastąpiona zostanie zależnością od Kongregacji Konsystorza).

Pisaliśmy niedawno w „Życiu" o rozkwicie kościoła w Ugandzie, o prześladowaniu tam wiary katolickiej w latach 1885-1887 przez „króla" Mwanga i śmierci 22 męczenników, później beatyfikowanych, a wreszcie o przepowiedni Papieża Leona XIII, że z krwi męczenników ugandyjskich wyrośnie ugandyjski Kościół.

Dzisiaj Uganda jest najbardziej katolicka ze wszystkich krajów czarnej Afryki. Katolików jest tam już milion na ogółem 3 zgórą miliony ludności. Jest tam 100 kościołów, trzy seminaria duchowne, 1300 szkół powszechnych z 60.000 uczniami, 60 szpitali.

Uganda jest krajem zamożnym. Rok rocznie eksportuje się z niej bawełnę i kawę wartości 12 i pół miliona funtów angielskich. Są tam dobre drogi bite i nowoczesne miasta. Tubylcy są rozwinięci i zamożni. Mają wielką liczbę rowerów, a niektórzy mają samochody. Stopniowo formują się w osobny, ugandyjski naród, którego mowa rozbrzmiewa w szkołach, na ambonach kościelnych i ukazuje się w druku. Dzisiejsi królowie murzyńscy w Ugandzie już nie prześladują chrześcijaństwa, sami są chrześcijanami i jeżdżą na studia na uniwersytety w Europie.

Kodyfikacja wschodniego prawa kościelnego. Kodyfikacja prawa kanonicznego, stosowanego w katolickich obrzędach unickich, postępuje naprzód. W „Acta Apostolicae Sedis" ogłoszono właśnie prawo małżeńskie dla obrzędów wschodnich. Ogłoszona kodyfikacja obejmuje 12 rozdziałów 131 kanonów. We wszystkich kwestiach zasadniczych przepisy prawa kanonicznego wschodniego są identyczne z przepisami, zawartymi w prawie kanonicznym, obowiązującym w obrządku łacińskim.

Zmniejszanie się religijności anglikanów. W rządowym roczniku Kościoła Anglikańskiego na rok 1949 zawarta jest statystyka osób, które dopełniły przepisanych przez Kościół anglikański obowiązków wielkanocnych. Liczba tych osób, jak się okazuje, gwałtownie spada. W roku 1940 było ich 2 134 898, zaś w roku 1937 tylko 1 859 115.

Rzymskich katolików było w Anglii w roku 1939 2 406 419, a więc więcej, niż tych anglikanów, którzy w roku 1940, czy tym bardziej w roku 1947 dopełnili swoich obowiązków wielkanocnych. Byłoby rzeczą ciekawą obliczyć, ile katolików w odnonych latach dopełniło spowiedzi wielkanocnej. Zważywszy dużą naogół religijność i dyscyplinę kościelną katolików angielskich, można przyjąć że liczby ludzi, dopełniających obowiązków wielkanocnych są kościele katolickim w Anglii i w kościele anglikańskim mniej więcej równe, a więc że pod względem liczby rzeczywiście praktykujących wiernych, oba kościoły stanowią równą siłę.

Kolegium katolickie w Nagoya (Japonia) przekształcone w uniwersytet. Katolickie kolegium Nanzan w mieście Nagoya w środkowej Japonii uzyskało rangę uniwersytetu. Będzie to drugi uniwersytet katolicki w Japonii. Kolegium Nanzan dotychczas poświęcone było wyłącznie studiom nad obcymi językami.

Chińska para uczonych przyjęła katolicyzm. Prof. dr. Lan i jego żona, oboje będący profesorami uniwersytetu w Kuming, stolicy prowincji Yunan w Chinach, przyjęli katolicyzm. Obrzęd chrztu olbył się uroczyście w katedrze katolickiej w Kunming. Oboje profesorostwo są wychowankami wydziału medycyny uniwersytetu w Lyonie we Francji.

Gdańsk leży w Niemczech? Godnego podziwu nietaktu dopuścił się niemiecki korespondent watykańskiego dziennika „Osservatore Romano". w korespondencji, datowanej z Kolonii nad Renem, zatytułowanej „Vita cattolica in Germania", w numerze z dn. 13 marca, b.r. — W artykule tym, w rubryce, poświęconej odbudowie kościołów w miastach niemieckich, zawarta jest dłuższa wzmianka o tym, jak to ludność Gdańska (Danzica), poczynając od ukończenia działań wojennych troszczy się o odbudowę kościołów: dominikańskiego św. Mikołaja, św. Elżbiety i największego, a najbardziej zniszczonego, lecz powstającego już z gruzów Mariackiego.

Należy przypomnieć, że: 1) Gdańsk nie leży w Niemczech i nie należał do Niemiec również i w latach 1920-1939, ale, stanowił wolne miasto, węzłem politycznym związane z Polską. Dzisiaj jest przyłączony do Polski. Diecezja katolicka w Gdańsku, utworzona po pierwszej wojnie światowej, nie była związana z organizacją kościelną w Niemczech, ale podlegała bezpośrednio Stolicy Apostolskiej i posiadała charakter mieszany polsko-niemiecki. Jej pasterzem był przez większą część międzywojennego okresu Polak, ksiądz biskup O'Rourke, pochodzący z rodziny irlandzkiej, od wielu pokoleń spolszczonej. Obecnie posiada ona polskiego Wikariusza Apostolskiego. 2) Ludność katolicka w mieście Gdańsku, stanowiąca przed wojną około jednej trzeciej ogółu ludności, a na całym terytorium wolnego miasta nawet odsetek nieco wyższy, była w lwiej części bądź czysto-polska, bądź powierzchownie zniemczona, świeżego polskiego pochodzenia. Wielu niemieckich działaczy partii „Centrum" w Gdańsku miało ojców i matki modlących się z polskich książeczek. Katolickie wsie na obszarze wolnego miasta, — Trąbki, Piekło i inne, — były językowo polskie, wsie niemieckie posiadały charakter protestancki. Granica językowa polsko-niemiecka, pokrywająca się z granicą wyznaniową katolicko-protestancką, przebiegała tuż pod murami miasta. 3) Kościół Mariacki, — jedna z najwspanialszych świątyń gotyckich nad Bałtykiem,, — powstał za czasów polskich. Zaczęto jego budowę w wieku XIII, pod rządami polskiego księcia pomorskiego Mastwina II, a więc jeszcze przed okupacją krzyżacką. Ukończono ją w roku 1498 również pod rządami polskimi, już po ustaniu okupacji krzyżackiej: W roku 1577 kościół ten został zagarnięty przez protestantów i pozostawał w ich ręku w stanie sporego zaniedbania, do roku 1945. Katolicy niemieccy nie mieli i nie mają z tym kościołem nic wspólnego. To nie ludność niemiecka odbudowuje dziś kościoły w Gdańsku, bo ludności niemieckiej dziś w Gdańsku nie ma. Niemcy w roku 1945 do spółki z bolszewikami, Gdańsk zburzyli. Kościoły gdańskie, wielkim wysiłkiem pieniężnym i ofiarnością publiczną, odbudowuje z wielką pieczołowitością z gruzów społeczeństwo polskie. Informacje o przebiegu tej odbudowy niemiecki autor zapewne zaczerpnął z artykułu, ogłoszonego niedawno na ten temat i obficie ilustrowanego, zamieszczonego w katolickim, krakowskim „Tygodniku Powszechnym."

Podziwiać należy tupet niemieckiego autora, który zdołał przemycić w „Osservatore Romano" artykuł uznający Gdańsk za miasto niemieckie i zapisujący wysiłek rekonstrukcyjny polskiej ludności katolickiej, heroicznie nawet w obecnych warunkach robiącej tak wiele na dobro społeczeństwa niemieckiego. Należy ubolewać nad nieuwagą redakcji watykańskiego dziennika że taki artykuł przepuściła.

WYRAŹNE POGŁĘBIENIE RELIGIJNOŚCI W POLSCE

Niebywałym powodzeniem cieszyły się w całym kraju wielkopostne misje i rekolekcje, przeprowadzone w tym roku prawie w każdej parafii. W Warszawie napływ studentów na rekolekcje akademickie był największy ze wszystkich dotychczasowych. Religijność w Polsce odradza się w sposób zupełnie opatrznościowy. W całym społeczeństwie wzmogły się w stopniu niezwykłym zainteresowania religijne. Świadczy o tym m.i. fakt, że Pismo św. Nowego Testamentu, wydane przez Księgarnię św. Wojciecha w nakładzie 50.000 egzemplarzy, rozeszło się prawie momentalnie. Obecnie przygotowuje się drugie wielkie wydanie. Tłumaczenia dokonał ks prof. Eugeniusz Dąbrowski, doktor Nauk Biblijnych.

We wszystkgich okręgach Polski księża stwierdzają, że moralność młodzieży jest bardzo wysoka, w niektórych wypadkach większa niż przed wojną, pomimo gwałtownej propagandy komunistycznej, usiłującej oderwać młodzież nietylko od Kościoła ale i od rodziny i od tradycji polsko-katolickich. Młodzież katolicka, narażona na ataki bezbożnictwa, czuje potrzebę odpowiedniego przygotowania umysłowego do odpierania bezbożnej propagandy. Dlatego też kursa religijne, wykłady i konferencje teologiczne cieszą się wielką frekwencją.

W Wielkim Tygodniu wszystkie parafie przeprowadziły akcję antyalkoholową. Dyrekcja Caritasu dostarczyła odczytów, przemówień, pogadanek i odpowiednich afiszów. Ogromnym powodzeniem cieszyło się Misterium Męki Pańskiej w 6 aktach, wystawiane przez Braci zakonnych z Niepogkalanowa. Przez cały Post odbywały się co drugi dzień przedstawienia przy szczelnie wypełnionej sali, mogącej pomieścić 500 osób. Przy czynnej współpracy czcicieli Matki Boskiej buduje się również monumentalna Bazylika Niepokalanego Poczęcia w Niepokalanowie, która będzie hołdem członków i rycerzy Milicji Niepokalanej dla swej Hetmanki.

W niedzielę Męki Pańskiej wszystkie kościoły i kaplice przepełnione były tłumami wiernych, którzy modlili się w intencji Ojca św. Przy tej okazji odczytano w kościołach odezwę Ojca św. o Mszy wotywnej na odpuszczenie grzechów. Wiele milionów Polaków przystąpiło tej niedzieli do Komunii św. w intencji Ojca św., atakowanego i szkalowanego przez bezbożników spod znaku czerwonej gwiazdy. Im gwałtowniejszy atak przypuszcza bezbożnictwo na szańce Wiary katolickiej w Polsce, tym wierniej i mocniej staje lud polski w obronie chrześcijaństwa.

(I.C.)

LIST ZE STAREJ JEROZOLIMY

CHOĆ nie jestem filatelistą, odrazu zauważyłem niezwykłe znaczki pocztowe na liście, otrzymanym przed paru dniami z dalekiego świata. Niektóre z nich przedstawiają meczet mahometański, inne znaną mi przypadkiem podobiznę króla Transjordanii Abdullaha. Napisy arabskie przytłoczone są czerwonym lub zielonym nadrukiem „Palestine".

Gdy z niecierpliwością otworzyłem kopertę okazało się, że list pochodzi ze starej Jerozolimy, pozostającej od pół roku pod okupacją Transjordanii. Szedł przez Aman, stolicę tego kraju, a autorem jest jeden z kilku Polaków, którzy przez cały czas wojny żydowsko-arabskiej przetrwali w Starym Mieście, człowiek zasługujący na bezwzględne zaufanie zarówno pod względem prawdomówności jak i bystrości obserwacji. Oto szereg szczegółów tego listu mogących zainteresować katolików, a w szczególności Polaków, którzy mieszkali lub otarli się o Ziemię Świętą.

Zacznijmy od wiadomości ogólnych o stanie miasta po długotrwałych walkach, które ustaliły obecną linię demarkacyjną, a prawdopodobnie przyszłą granicę palestyńsko-transjordańską. Linia ta przebiega wzdłuż murów starej Jerozolimy, które dziwnym zrządzeniem Opatrzności raz jeszcze, w wieku atomowym, ocaliły najważniejsze miejsce święte Chrześcijaństwa od tragicznego losu, jaki spotkał wiele świątyń i zabytków w żydowskiej części Palestyny.

Potwierdza się, niestety, publikowana już wiadomość o zupełnym zniszczeniu kościoła i klasztoru SS. Reparatek, położonego na zewnątrz murów, przy ul. Sulimana, w pobliżu Nowej Bramy. Znajdujący się również w rękach Żydów wielki gmach „Notre Dame de France" i kościół Asumpcjonistów (który przez wiele lat był kościołem polskim) jest bardzo poważnie zrujnowany. O oba te kompleksy kościelne toczyły się przez długie tygodnie bardzo zacięte walki, w czasie których padł O Mamert Vionnet, Asumpcjonista. Znaleziono go zastrzelonego w celi klasztornej. W dawnym kościele polskim Żydzi urządzili kino i dancing.

Podobnie postąpiły wojska żydowskie z bazyliką i klasztorem OO. Benedyktynów na Górze Syjon — z tzw. „Sanctuarium Dormitio". Obiekt ten zajęli Żydzi jeszcze w maju 1948 r. i trzymają go do chwili obecnej. Zburzony jest również gmach delegatury Apostolskiej na GórzeSyjon, a cmentarz katolicki, tamże położony ucierpiał poważnie od bomb. Panuje przekonanie, że można było bardzo łatwo zapobiec brutalności wojsk żydowskich i profanacjom miejsc świętych. Wystarczyłaby jedna silna nota dyplomatyczna któregoś z mocarstw chrześcijańskich. Niestety, miały one rzekomo większe zmartwienia, niż zapobieganie pogromowi Chrześcijaństwa w Ziemi Świętej.

Jeśli chodzi o budynki polskie lub przez Polaków w czasie wojny zamieszkałe, to los ich przesądziło położenie w obrębie starych murów lub poza nimi. W stary Dom Polski trafiły malutkie bomby i szkody nie wyrządziły. Jedna z nich rozwaliła jedynie pokoik w t.zw. aneksie, wynajmowany przez ks. S. Pieruszkę obcym. Śmierć poniósł od tej bomby młody Syryjczyk przygarnięty na jeden nocleg.

Znane wszystkim Polakom, którzy byli w Palestynie i podczas wojny całkowicie przez naszych rodaków zamieszkałe hospicjum franciszkańskie na starym mieście „Casa Nova" otrzymało też kilka bomb, które jedynie powybijały szyby. Jedna z tych bomb przebiła się do salonu na II piętrze i raniła osobę wówczas tam zamieszkałą; inna bomba zdemolowała pokój mieszkalny na III piętrze.

Dużo gorzej przedstawia się stan domów polskich poza murami. Dawny gmach Delegatury M.O.S. przy ul. Nablus Road 8 został zburzony do fundamentów, były gmach Konsulatu R.P. spalony, a dom Linda, gdzie mieściła się świetlica i stołówka „War Relief Services" został kompletnie wyszabrowany (wraz z futrynami okiennymi i polskimi archiwaliami i książkami, z których niektóre sprzedają teraz na straganach ulicznych). Taki sam los spotkał Nowy Dom Polski, wystawiony w czasie wojny z ofiar wojska polskiego przez SS. Elżbietanki.

Nowy Dom Polski, który SS. Elżbietanki wyposażyły w r. 1947 na szpitalik arabski znalazł się kolejno w rękach Arabów, a potem Żydów. Cały inwentarz (bardzo cenny) został zrabowany. Istniał jeszcze przed wojną palestyńską projekt przeniesienia majątku ruchomego SS. Elżbietanek do Starego Domu Polskiego, położonego — jak wiadomo — w starej Jerozolimie, niestety jednak Siostry rad nie usłuchały.

Tylko pięciu Polaków — uchodźców wojennych z ks. S. Pietrus ką na czele przetrwało do chwili obecnej w Starej Jerozolimie. Jak wiadomo większość Polaków z Palestyny przetransportowano do Libanu i jak przypuszcza mój korespondent w całej Palestynie może się obecnie znajdować około 100 Polaków-Chrześcijan. Los tych, którzy wojnę żydowsko-arabską przeżyli na Starym Mieście nie był wesoły. Żyli niemal na linii frontu („Casa Nova" położona jest o 250 m. od Nowej Bramy, a w linii powietrznej — poprzez Patriarchat Łaciński — o 150 m. od murów, czyli od linii bojowej), pozbawieni światła elektrycznego od 15 maja ub. r., czerpiąc wodę deszczowy jedynie ze zbiorników i to w ilościach bardzo małych. Jeśli chodzi o żywność, to było jej pod dostatkiem, gdyż zaraz na początku wojny większość ludności uciekła z miasta i zapasy wystarczały całkowicie tym, co pozostali. Nawet ceny spadły. Poczciwi OO. Franciszkanie obniżyli nielicznym mieszkańcom komorne z powodu odcięcia prądu i wody, za którą jednak trzeba było płacić od wiadra. Nafta — jedyny środek oświetlenia — podrożała kilkakrotnie.

Mimo tych nienajgorszych warunków aprowizacyjnych, Polacy zamknięci w czasie wojny w obrębie starych murów cierpieli wielką biedę, a nawet głodowali, gdyż I.R.O. wstrzymało im złośliwie dziesięciofuntowe zasiłki miesięczne, i to wbrew własnym zobowiązaniom i piśmiennym obietnicom. Od 1 lutego br. r. zasiłek został Polakom cofnięty — zupełnie bezprawnie, gdyż wszyscy oni są chorzy lub b. słabego zdrowia i otrzymali zezwolenie na pozostanie w Palestynie do czasu zorganizowania przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż „odpowiedniego transportu" do Libanu.

Z wielkim uznaniem wyraża się mój korespondent o p. Bronisławie Stefanowskim, urzędniku I.R.O., który z narażeniem własnej kariery i posady okazał Polakom jerozolimskim maximum możliwej pomocy. W szczególności ułatwił on znanemu zbieraczowi poloniców w Palestynie p. C.H. uratowanie jego cennych zbiorów.

Tryb życia rodaków naszych w czasie walk żydowsko arabskich był niezwykle monotonny. Przez półtora roku korespondent mój tylko raz odważył się opuścić mury miasta, aby udać się na Boże Narodzenie ub. r. z pielgrzymką do Betlejem. Pielgrzymka ta wyruszyła z Jerozolimy drogą okrężną poprzez góry i waadi. Droga ta, niezwykle piękna i ciekawa, dająca wspaniałe widoki na Jerozolimę i Góry Judzkie, była używana z konieczności, wskutek przecięcia liniami nieprzyjacielskimi głównej szosy do Betlejem. Obecnie trakt ten jest już uporządkowany, a przejazd taksówką trwa — wobec karkołomności zakrętów — przeszło godzinę (17 km.). Przedtem jednak pielgrzymi udawali się do Betlejem drogą jeszcze dłuższą, historycznym „Szlakiem Monasterów" (45 km.) przez Mar Saba. Do dzisiaj główna szosa asfaltowa przecięta jest linią frontu w dwóch miejscach.

Żadne gazety europejskie do Starej Jerozolimy nie docierają, a poczta przez Aman uruchomiona została bardzo niedawno.

Dużo kłopotu mieli uchodźcy polscy w Jerozolimie z powodu różnych nietaktownych posunięć tamtejszego konsulatu warszawskiego. Ostatnio jednak stosunki z władzami okupacyjnymi Transjordanii ułożyły się zupełnie dobrze i bez niepożądanych pośrednictw. List mego korespondenta nie był cenzurowany.

O żadnych posunięciach antykościelnych lub wogóle skierowanych przez Transjordańczyków przeciwko Chrześcijanom przyjaciel mój nie wspomina. Los Polaków, którzy w czasie wojny znaleźli się po stronie żydowskiej nie jest mu znany, donosi tylko o internowaniu dr. T. Wondrauscha.

Tyle z listu mojego przyjaciela. Osobom nieznającym Jerozolimy mówi on niewiele, ale w tych, co ją znali i kochali (a każdy, kto tam mieszkał, kochać ją musiał, a nawet — twierdzę — tęskni do tego przedziwnego miasta, oddychającego historją) ta garstka wiadomości wywoła setki obrazów i wniosków.

Naprzykład krótka wiadomość, że asfaltowa szosa betlejemska przecię-

DNIA 8 MAJA **DNIA 8 MAJA**

PIELGRZYMKA do WALSINGHAM

Po wszelkie informacje: Komitet, 21, Earls Court Sq., S.W.5.Tel. FLA 1500 i FLA 1581.

Z NOWYCH WYDAWNICTW

OD przeszło pół roku ukazuje się w Wiedniu kwartalnik p.t. „*Eastern Review*" pod redakcją dwuch austryjackich profesorów: J. Matla z uniwersytetu w Grazu i H. F. Schmida z uniwersytetu w Wiedniu. Kwartalnik wydawany w języku angielskim, francuskim i niemieckim, chwilami robi wrażenie, że służy interesom Związku Sowieckiego. Wrażenie to powstaje po lekturze rozpraw poświęconych Polsce.

Polskim współpracownikiem kwartalnika jest p. Otto Forst-Battaglia, tytułowany profesorem. Współpracownik ten jest apologetą obecnej rzeczywistości politycznej i obecnego ustroju panstwowego w Polsce, a wieść niesie, że i urzędnikiem prasowo propagandowym reżymowego poselstwa polskiego w Wiedniu. Ten outsider polityczny przed wojną lgnął to do konserwatystów, to do obozu rządowego, to udawał liberała, to katolika, aż znalazł się w cichej chwilowo przystani bierutowej. Z lekkością pióra i z obfitością materiału bardzo tendencyjnego informuje świat o Polsce. Ile ironii i blagi tkwi już w samym tytule rozprawy p. Forst-Battaglii — „*The political Parties in the New Poland*"! Wiadomo jest powszechnie, że niezależne i niepodległościowe partie polskie od lewicy do prawicy mówiąc z grubsza, nie zostały przez koferencję moskiewską 1945 r. wogóle dopuszczone do legalnej działalności w Polsce, a inne, które stanęły na gruucie Jałty (P.S.L- i Stronnictwo Pracy) zostały kolejno zlikwidowane przez okupantów sowieckich i administrację p. Bieruta. Rządzi więc jedynie partia komunistyczna, gdy odłamki innych, dawnych stronnictw są fałszywymi partiami z pożyczonymi nazwami i są na drodze do likwidacji, jak to się stało z fałszywą P.P.S., która uległa niedawno likwidacji pomimo, że była fałszywą P.P.S.! Sam tytuł rozprawy p. F.-B. wprowadza w błąd. Cóż dopiero treść! Rzecz jest napisana w typie zamówionej reklamówki,

Pozory bezstronności ma rozprawa p. G. Luschnytzky'ego p. t. „*The Eastern Church To-day*". Autor chciał by jedności kościelnej pomiędzy Wschodem i Zachodem i w zagadnieniu „Rzym czy Moskwa?" może nawet jest po stronie Rzymu. Pomimo, że wspomina w swej rozprawie o prześladowaniu religii i Kościołów pod rządami sowieckimi i w krajach rządów marionetkowych pod opieką sowiecką, strona informacyjna rozprawy nie mówi o całości prześladowań, a raczej zwęża zakres tych prześladowań, czego przykładem jest ustęp dotyczący Kościoła Greko-Katolickiego.

W sprawach kościelnych polskich uderza wroga ignorancja autora. Tak naprzykład p. L. twierdzi, że w czasie „pacyfikacji" ukrainskiej w r. 1930 na Wołyniu były rujnowane świątynie prawosławne, a protestujący metropolita Szeptycki miał konflikt z prymasem Kardynałem Hlondem na tle tej sprawy. Redakcja kwartalnika zna zapewne język rosyjski i mogłaby tu zastosować do autora rozprawy znane powiedzenie rosyjskie: „słyszał zwon, no nie znajet od kuda on". A oto drugi przykład: arcybiskup Sawa, ordynariusz diecezji grodzienskiej i nowogródzkiej Polskiego Kościoła Autokefalicznego jest dla p. Luschnytzky'ego głową autonomicznej Cerkwi rosyjskiej w Wielkiej Brytanii wraz z dwudziestoma kapłanami. Przy nazwisku arcb. Sawy. dla informacji, ale fałszywie podano „Vilna" (!)

Tego rodzaju informacje polityczne (p. Battaglia) i kościelne (p. Luschnytzky) — przykładowo tylko wymienione — idą w świat w trzech językach, europejskich i pod firmą dwuch uczonych - specjalistów austriackich: jednego filologa-slawisty, drugiego — historyka Europy Srodkowo-Wschodniej.

Cytowaliśmy przykłady tylko z numeru drugiego kwartalnika. Pierwszy — jeśli znowu chodzi o sprawy polskie — informuje o „Konstytucji polskiej z r. 1947" (bierutowej), o literaturze polskiej (piórem tegoż p. Forst-Battaglii) oraz o metropolicie Szeptyckim - zeszytu tego nie mamy, ale sądzić wolno, że te polskie spr wy są przedstawione we wklęsłym zwierciadle. Ciekawe, czy redakcja zamieściłaby bezstronny artykuł o losach Po ski w czasie wojny? (Notabene — wskazane było by sprostowanie arcb. Sawy, co do jego charakteru kościelnego, zwłaszcza, że informacja ta obleci świat aż w trzech językach).

Pismo wychodzi w sowieckiej strefie okupacyjnej stąd może jego trudności — ale nie usprawiedliwia go jednostronna i fałszywa informacja o Polsce, gdy równocześnie dość bezstronnie informuje o życiu ukrainskim, nawet emigracyjnym.

Szerzej o tym piszemy, bo niestety, tak się złożyło, że od stu przeszło lat informowały o Polsce cały świat dwie wrogie nam propagandy: rosyjska i niemiecka, a świat przyzwyczaił się patrzeć na Polskę oczami obu tych propagand. Krótki okres wolności Polski nie zdołał odrobić tych fałszów, a dziś Polska znowuż pozbawiona została wolności. „Informacje" kwartalnika „Eastern Review" o tyle są dla nas szkodliwe, że ukazują się pod firmą austriackich uczonych, choć zgodne są z zamierzaniami dzisiejszych władców Polski i ich mocodawców.

Brak z polskiej strony ze środowisk wolności — z Londyuu, Paryża, Ameryki — uczciwej informacji o Polsce w językach obcych, i to stałej informacji, odczuwa się coraz dotkliwiej. Naraża to sprawy polskie na wielkie straty.

*

Z PEWNEGO rodzaju wzruszeniem bierze się do rąk po blisko dziesięciu latach przerwy wydawnictwa starych zasłużonych, posiadających swoją tradycję instytucji naukowych. Do nich należy między innymi Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Wydało ono w przeszłym roku jako tom II „Concilia Poloniae" **„Synody diecezji wileńskiej i ich statuty"** docenta dra Jakuba Sawickiego (Warszawa, 1948, str. XI 145).

Docent Sawicki uczeń prof. Abrahama, tak bardzo zasłużonego dla badań historyczno-kościelnych w Polsce, podjął inicjatywę prof. Kutrzeby opracowania „Prolegomenów do Synodyku Kościoła Polskiego". Autor wydał nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie jako tom I „Concilia Poloniae" „Statuty synodalne krakowskie biskupa Jana Konarskiego z 1509 r.", obecnie zaś jako tom II — Synody wileńskie.

Autor słusznie stwierdza, że „historia ustroju Kościoła na ziemiach polskich, jego instytucji i jego prawa tak ściśle jest spleciona z dziejami naszego ustroju politycznego, gospodarczego i społecznego i z historią naszego dawnego prawa, że żadna z nich bez drugiej obyć się nie może. Pomniki prawa kanonicznego na ziemiach polskich przedstawiają przeto i dla badacza zagadnień ustrojowych i prawnych naszej przeszłości wielką wartość."

Omawiana praca dra Sawickiego poświęcona jest wyłącznie synodom diecezji wileńskiej, ale równocześnie, choć pobieżnie, wykazuje tematyczne związki ustawodawstwa synodalnego diecezji wileńskiej z synodami ogólnopolskimi łęczyckiemi oraz synodami innych diecezji.

Według dotychczasowych obliczeń i ustaleń nauki w czasach przedrozbiorowych odbyło się 24 synodów wileńskich nie licząc trzech synodów nie ustalonych bez wątpliwości z lat 1607, 1618 i 1641. Jeżeli chodzi o plon ustawodawczy tych synodów — na czternastu wydano statuty synodalne, a odbyły się one w okresie lat 1527—1744. Co do reszty synodów można przyjąć, że albo nie wydano na nich żadnych statutów, albo nie posiadamy wiadomości o ich wydaniu, albo wreszcie uchwały tych synodów nie mają charakteru statutów synodalnych. Ponadto spośród owych czternastu synodów, na których statuty wydalno, statuty czterech synodów nie dochowały się do naszych czasów.

Nie jest to materiał zbyt wielki — ów dochowany plon — i nie daje pełnego obrazu twórczości prawno-kościelnej. Szkoda, wielka bo w ten sposób bezpowrotnie zaginął bogaty zbiór pomników polskiego prawa kościelnego. A tymczasem od XVI wieku poczynając, pod wpływem ruchu reformacyjnego, a pòźniej pod wpływem Soboru Trydenckiego i jego reformistycznych dekretów, ożywiło się znacznie życie synodalne wielu diecezji polskich. W połowie XVIII wieku — jak gdyby w oczekiwaniu nadchodzących klęsk — życie synodalne obumarło.

Zjawiskiem charakterystycznym w diecezji wileńskiej są próby skodyfikowania całości obowiązującego w pewnym okresie prawa diecezjalnego, próby nie zawsze udane.

Rzecz ciekawa, że w drugiej połowie w. XVIII — czasach tak niesprzyjających zbiorowym poczynaniom ustawodawczym i organizacyjnym na większą skalę — odbyły się dwa synody diecezjalne i to w punktach terytorialnych bardzo zagrożonych: diecezji Kijowskiej w Berdyczowie w roku 1762 oraz archidiecezji lwowskiej w r. 1765. Czyżbyśmy i tu mieli dowód tężyzny kresowej, wyrosłej na mieszaninie krwi i spadku ideowym polskiego Związku Narodów?

Nieszczęsny biskup wileński Massalski nosił się z zamiarem zwołania Synodu w Wilnie w r. 1777, jednak zamiar ten nie został zrealizowany.

Obok ściśle kościelnych, na synodach traktowano także i inne materie. Oto n p. punkt 11 czwartego synodu biskupa wileńskiego Pawła księcia Holszańskiego. W punkcie tym była mowa „z powodu kontrybucji przez Walny Sejm świecki na duchownych nałożonej." Do punktu tego zabierał głos biskup żmudzki zaznaczając, że ściągana jest ta kontrybucja „na przypadek wojny z Księciem Moskiewskim," więc się „zgodził z drugimi ze względu na grożące Rzeczypospolitej niebezpieczeństwo, a tylko dodał życzenie, żeby Król raczył bronić kler od ucisku świeckich i nie stanowiono nadal praw ze swobodami kościoła niezgodnych." X. Magister Jan z Krakowa, kanonik stołu biskupiego, i jak widać mądrala nielada, przy tej materli wyrzekł sentencjonalnie iż „dawniej książęta i królowie nie pieniędzy (u kleru) ale boskiej łaski szukali, a zwycięstwa nad wrogami odnosili."

W. P.

---

ta jest do tej pory w dwóch miejscach. Cóż ona mówi?

Informacja ta streszcza dzieje wojny żydowsko-arabskiej w tym rejonie. Oznacza to, że Żydzi odnosili wielkie sukcesy. Jeśli trzymają obecnie Bazylikę Zaśnięcia (Dormitio), to znaczy, że szosa przecięta jest przede wszystkim u samego swego wlotu do miasta, czyli przy bramie Jafskiej. Czyli wojska Żydowskie zdołały połączyć swoje linie na Rehawii — poprzez starą kolonię Żydów sefardyjskich pod murami starego miasta — z górą Syjon. A zatem cały teren otaczający Hotel Dawida jest w ich rękach, cała ulica Mamillah, King George Street, Princess Street, Plac Alemby i otoczenie. Natomiast mała dzielnica żydowska w obrębie murów została zlikwidowana przez Arabów i Mur Płaczu jest w ich rękach.

Ale jeśli szosa jest przecięta również w drugim miejscu, to tylko na wysokości Talpiotu, albo wyżej, na wysokości kibucu Rachela, położonego na południe od Talpiotu. Czyli Żydzi utrzymali Talpiot, oblany morzem arabskim, co jest nadzwyczajnym sukcesem. Przesądza to wreszcie o losach koszar Alemby i prawdopodobnie Górnej i Dolnej Baaki, gdyż obie te dzielnice arabskie zawsze zagrożone były przez potężny kibuc żydowski i zwartą dzielnicę starych osiedleńców żydowskich. Że cały Katamon i Niemiecka oraz Grecka Kolonie znalazły się w rękach żydowskich chyba nie ulega żadnej wątpliwości.

Te wielkie zdobycze żydowskie zdają się wyjaśniać wiadomości prasowe o licznej imigracji Żydów europejskich do Jerozolimy — do gotowych domów i will poarabskich.

Wreszcie z listu mego korespondenta niewątpliwie wynika, że i w dzielnicy Musrara Żydzi osiągnęli pewne zdobycze. Jakie — dokładnie nie można wnioskować.

A. Ost.

W POSZUKIWANIU ŹRÓDEŁ ŻYCIA KULTURY

Dokończenie ze str. 5

turze lecz przeciw ortodoksyjnej religii, którą obwinia się o społeczną niesprawiedliwość i moralne zło istniejącego porządku. Prorocze potępianie istniejących form zorganizowanej religii jest cechą charakterystyczną sekciarskich tendencji.

Identyfikowanie religii z pewną kulturalną syntezą właściwą określonemu momentowi w czasie i przestrzeni jest wielką szkodą dla religii. Jeśli zidentyfikowanie jest doprowadzone do ostateczności, **skutki tego są** fatalne tak dla religii, która związana za społecznym parządkiem traci swój duchowy charakter, jak i dla kultury ,gdyż wolny jej rozwój ulega ograniczeniu przez więzy tradycyjnej religii, wskutek czego społeczny organizm kostnieje i staje się bezduszny. Czytelnicy znający Maritaina „Réligion et Culture", i „Humanism intégral" z pewnością zauważą podobieństwu porządkujących rozróżnień zastosowanych w tej dziedzinie przez znakomitego filozofa francuskiego.

Najkorzystniejszymi warunkami, na jakich można by ułożyć twórcze współdziałanie religii i kultury, byłyby: uznanie duchowych transcendentnych zadań religii, które nie mogłyby być interpretowane jako zaprzeczenie uwarunkowanych historycznie wartości kultury, formy zaś danej kultury, choćby nawet były natchnione i uświęcone religijnym ideałem, nie mogą być uważane jako posiadające powszechną religijną ważność.

Błąd najczęściej tu popełniany polega na tym, że kultury swemu sposobowi życia i swej tradycji przypisują tak dalece powszechną wartość, że w praktyce indentyfikują się z boskim i moralnym porządkiem. Konsekwencją tego jest, że każdy konflikt kultur jest rozumiany jako konflikt zasad religijnych.

Epoka współczesna zajmuje ważne miejsce w rozważaniach Dawsona. Jej kulturę uważa za niezmiernie złożony kompleks nauk technicznych o wysokim poziomie specjalizacji, lecz pozbawionej przewodzącego ideału ducowego, pozbawionej wspólnej podstawy moralnej wartości. Te niedomagania nowoczesnej kultury były niewidoczne tak długo, jak długo nowoczesna „wiedza o kulturze" ograniczała się jedynie do ludzi Zachodu Europy i utrzymywała swój związek z ideologią humanizmu i liberalizmu. Próżność duchowa tej „wiedzo-kultury" ujawnia się wtedy, kiedy ten typ kultury swym zasięgiem objął świat. Wtedy okazało się, że ta nowoczesna kultura, nie jest kulturą w dotychczosowym pojęciu, gdyż nie ujęła w jeden porządek, w żyjącą duchową jedność, wszystkich stron życia ludzkiego.

Jeśli nie poddajemy się pesymizmowi, to gdzie szukać źródeł odrodzenia kultury ludzkiej? Jak uleczyć ducha kultury rozszczepionego z jednej strony na niemoralną siłę panowania, wspomaganą przez technikę, z drugiej na religijną wiarę i moralny idealizm?

Ratunek leży w powrocie do **duchowej jedności kultury**. Sekularyzacja kultury nie jest zdaniem Dawsona jedynym kierunkiem rozwoju kultury. Równie uprawnionymi kierunkami są: czy to powrót do religii, czy możliwe do zrealizowania stworzenia syntezy między religią a kulturą. Na drodze każdego z tych kierunków można dojść do stworzenia duchowej jedności kultury.

Jan Wepsięć

KONKURS TEATRALNY

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego pragnie, aby zespoły teatralne, spełniając ciężką i odpowiedzialną służbę społeczną na obczyźnie, dbały o możliwie najwyższy w istniejących warunkach poziom artystyczny. W tej myśli Towarzystwo ogłasza konkurs:

I. na najlepszą grę zespołową — nagroda £ 45. (do podziału po równej części między członków nagrodzonego zespołu);

II. na najlepszą inscenizację — reżyserię — nagroda £ 30 (do podziału: w połowie do rąk nagrodzonego inscenizatora-reżysera, w połowie do rąk kiedownictwa teatru);

III. na najlepszą kreację aktorską — nagroda £ 15 (w całości do rąk nagrodzonego artysty).

Nagrody I i II mogą być przyznane także za widowisko składane, nagroda III tylko za rolę w sztuce wypełniającej cały wieczór.

Wszystkie nagrody zostaną przyznane.

Poza pracami i kreacjami nagrodzonymi jury może przyznać wyróżnienie lub nagrody dodatkowe, zadeklarowane przez inne instytucje społeczne.

Konkurs obejmuje sztuki wystawiane w czasie do 3 maja do 3 listopada br. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi 11 listopada rb.

Jury konkursu stanowią: Wacław Grubiński, Fryderyk Jarossy, Mila Kamińska, dr. Zygmunt Nowakowski i dr. Tymon Terlecki.

Sztuki stające do konkursu należy zgłaszać i po bliższe informacje należy się zwracać do Towrzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego: 74, Cornwall Gardens, London. S.W.7, telefon WEStern-8324.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

O CHOROBIE BABILOŃSKIEJ I O BABILOŃSKIEJ NIEWOLI

MÓJ artykuł sprzed kilku tygodni o grzesznym smutku wywołał większe echo niż się można było spodziewać. Ktoś z czytelników prosi mnie nawet o bliższe informacje. Niestety nie jestem teologiem i niezbyt wiele umiem powiedzieć. Grzech smutku, pozbawiającego duszę stanu łaski nazywano w średniowieczu acedią. Występował bardzo silnie przeciw acedii święty Franciszek i jego uczniowie. Od świętego Biedaczyny pochodzić ma określenie tego smutku jako „choroby babilońskiej". Pod tą też nazwą znali ją zwykli ludzie późniejszego średniowiecza.

Choroba babilońska. Ta nasuwa odrazu obraz Izraelitów płaczących nad wodami Babilonu. Zawiesili swoje harfy na gałęziach wierzb i nie chcą śpiewać wesołych pieśni na zaproszenia Babilończyków. Tamci pewnie patrzą na nich okrągłymi, nawet poczciwymi oczami i nie mogą zrozumieć dlaczego.

Niewola babilońska w wyobraźni przeciętnego chrześcijanina przedstawia się nieprawdziwie jako długi okres wygnania całego narodu. Ulegamy tu nieświadomie... propagandzie emigracyjnej. Na wygnanie poszedł tylko aktyw, i to niecały, a masa izraelska pozostała na miejscu. W Ziemi Świętej żyło w owym czasie około stu tysięcy ludności. Jak podaje Pismo, na wygnanie poszło kilka tysięcy mężów. Ci, którzy pozostali, mieli niełatwe życie. „Jedli chleb swój pod grozą utraty życia"—jak to określają plastycznie „Skarby Jeremiasza". Partyzanci i bandyci walczyli z okupantem chldejskim, miasta były w ruinie. Wielu zwątpiło a nawet wyrzekło się wiary.

Z emigrantów nie wszyscy znaleźli się w Babilonie. Niektórzy udali się do Egiptu i tam zostali najemnymi żonierzami lub osadnikami wojskowymi. Zaczęli się też wynaradawiać, czego chrakterystycznym przykładem było budowanie świątyń ku czci jednocześnie Boga prawdziwego i bóstw lokalnych. Czyż potrzeba dodawać, że zmieniali nazwiska?

Kultura narodowa została przechowana nie w Kraju ale w Babilonie i stąd nasze wrażenie, że był tam cały naród wybrany. W Babilonie nie byli Izraelici biednymi pielgrzymami. Prędko urządzili się, a wielu doszło do stanu sporej zamożności. Tym się też tłumaczy, że część z nich nie wróciła potem już do Ziemi Obiecanej.

Gdy zaczęły się czasy ucisku, jeszcze przed upadkiem Jerozolimy, powstało wielu fałszywych proroków, którzy głosili, że wszystko się skończy lada rok i to w sposób jak najpomyślniejszy. Przeciwstawił im się prawdziwy prorok, Jeremiasz i polecił przygotować się na siedemdziesiąt lat. Dzięki tej mądrej radzie, zorganizowali się i urządzili.

Niewola babilońska trwała lat siedemdziesiąt, tak, że starcy mogli jeszcze powrócić do miejsca swego urodzenia. Wróciło mniej więcej tyle ile wyszło, czyli że, wobec niewątpliwego znacznego przyrostu naturalnego, spora część wynarodowiła się. A jednak tych kilkanaście tysięcy ludzi przechowało byt narodu, umożliwiło mu odrodzenie i zadecydowało o losach przyszłej ludzkości. Bez nich Izraelici w Kannaan spadliby do roli lokalnego plemienia i nikt by dziś o nich nic nie wiedział.

Smutek Izraelitów nad wodami Babilonu był aż nadto zrozumiały. Mieli dokoła siebie miasto-potwora, warownię na przestrzeń większą od dzisiejszego Londynu, której mury nie do zdobycia ginęły za horyzontem w każdym kierunku i zasłaniały widok wszystkiego z wyjątkiem nieba. A jednak to najpotężniejsze w ówczesnym świecie mocarstwo, oparte na terrorze i militaryźmie, pełne wiedzy ścisłej, zostało obalone niemal z dnia na dzień przez Persów.

Ci Persowie, jak opowiada Herodot, wychowywali swoich synów w niezwykle prostych zasadach: „uczyli ich trzech rzeczy — jeździć, strzelać i mówić prawdę". Ich język ojczysty był nie tylko aryjski ale bliższy słowiańskiemu, niż języki romańskie czy celtyckie. Tenże Herodot opowiada o pewnej kobiecie perskiej, którą nazywano Sbaka „co po persku znaczy suka". Ta właśnie Sobaka ocaliła i wychowała małego Cyrusa, który następnie zdobył Babilon i pozwolił Żydom powrócić do ojczyzny. Później Persowie za język urzędowy przyjęli bardziej rozwinięty język aramejski. Tym to językiem imperium perskiego mówił Jezus i Apostołowie.

Jeżeli emigracja babilońska wydaje nam się długa to dlatego, że wiąże się z nią tyle nazwisk i tyle arcydzieł literatury biblijinej. W ciągu niewiele więcej niż półwiecza powstają pisma Jeremiasza, Ezechiela, Księga Judyty, opowieść o Tobiaszu, Księga Hioba, Daniel.

Powrót do Kannaan wcale nie był triumfalny. Kraj był zniszczony i wymagał ogromnego wkładu pracy: „liczono na wiele, a sprowadziło się to do niewiela" jak zauważa lapidarnie prorok Aggejasz. Trzeba było jeszcze pół wieku nim odbudowano Świątynię.

Jak z tej całej historii widać, pezornie tak ze wszech miar uzasadniony smutek babiloński, okazał się nieuzasadniony. Nie było podstaw do optymizmu fałszywych proroków, ale epizod niewoli babilońskiej, choć dramatyczny, był konieczny i twórczy. Więc jeżeli odmawiamy prawa do bezbrzeżnego smutku, do zabójczej acedii, nawet tym pozbawionym nadziei wygnańcom, wpatrzonym w mętne wody Eufratu i ponurą moc największej metropolii Wschodu, tokogoż możemy z tego rozgrzeszyć? Siebie?

Wojciech Wasiutyński

PRZEGLĄDY MUZYCZNE

MUZYKA „NA WIELKANOC"

ROK rocznie, w Wielki Piątek i na Boże Narodzenie, cała Anglia śpiewa albo przynajmniej słucha „Mesjasza" Händla. Do pewnego rodzaju fantyzmu jest to doprowadzone na północy, gdzie w czasie Bożego Narodzenia chóry kościelne pełne namaszczenia śpiewają to oratorium nie tyle z pobudek religijnych, ile z dumy. Słuchając, możnaby przypuszczać, że Händel pochodził z Pickering albo Leeds. Tak już jest tradycją i instytucją angielską. Trzeba dodać, że wersja „Mesjasza" jakiej dziś słuchamy, w dużym stopniu różni się od oryginalnej wersji Händla, kiedy to w orkiestrze naprzykład samych oboi było nieraz więcej aniżeli skrzypiec. W 1935 r. zrobiono próbę wykonania oryginalnej wersji, ale spotkało się to z dużym niepowodzeniem wśród słuchaczy. „Tradycję" trzeba było pozostawić w spokoju...

Anglicy uważają Händla ze swego kompozytora, i rzeczywiście nie widzę powodu, dlaczego by ten twórca urodzony w Niemczech, wykształcony we Włoszech i we Francji, który ostatecznie osiadł w Anglii, miałby być uważany bardziej za Niemca niżeli za Anglika. W rzeczywiąstości był to internacjonalista i człowiek, który potrafił przyswoić sobie wszystko i pogrążyć się we wszystko, co nowe.

„Mesjasz" jednak nie był niczym nowym: w baroku kościoły katolickie i protestanckie potrafiły sobie przyswoić muzykę, na którą ówczesne idee silnie wpływały, muzycy a nawet muzykanci uzyskali sobie nowe miejsce w kościele. Z drugiej strony muzyka, jak ówczesna sztuka, sekularyzowały się, zeświecczyły na służbie absolutyzmu i „Oświecenia". Rozwijająca się muzyka znalazła nowe ujścia tak w katedrach jak i w prywatnych kaplicach magnatów, do czego w dużym stopniu przyczynił się luterański pietyzm. Stąd też skoncentrowanie wspaniałych oratoriów i muzyki kościelnej w tym okresie. Händel jednak nie potrafił być duszą wystarczająco mistyczną, ażeby komponować msze. Wpływy jakim ulegał były wpływami protestanckimi: Bogiem Händla jest potężny i zwycięski Jahwe; sławny chór „Alleluja" wykonywany także przez watykańską kapelę Julijską w czasie beatyfikacyj mógłby również służyć za marsz zwycięski. „Mesjasz" jako całość już nie jest oratorium należącym do nawy kościelnej. I do dzisiaj nawet, jego odśpiewanie nie jest aktem religijnym, lecz raczej zaspokojeniem miłości do muzyki wokalnej i instrumentalnej ,a jeszcze bardziej ,w Anglii, jak to już wspomniałem, tradycyjną manifestacją.

Komponując „Mesjasza" Händel sięgnął do oratoriów Carissimi'ego, w pełni wykorzystując jego dramatyczne możliwości; kładąc wielki nacisk na chór przedstawiając go jako zwarty zespół mas. Melodie w chórze są proste, łatwe i popularne, sole są liryczne: stary bankrut operowy nie mógł się oprzeć ariom, duetom i recytatywom. Ale główny nacisk pozostał na chórze, i po raz pierwszy w tym rodzaju kompozycji orkiestra uzyskuje nowe znaczenie. W przeciwieństwie do innych jego oratoriów, w których Händel łączył różne sceny recytatywami, „Mesjasz" jest liryczny w formie, a dramatyczny tylko w swojej mocy i napięciach uczucia. W zasadzie jest to rozmyślanie o życiu Chrystusa.

Z trzydziestu dwu oratoriów Händla to jedno, jedyny wyjątek liryczny, stworzyło podstawę do kompozycji oratoriów po dzień dzisiejszy.

Również tradycyjne na Wielkanoc, ale nie tak popularne wśród szerokich mas jak „Mesjasz", są dwie Pasje Bacha. Nie ma w nich tego patosu co w Händlu. To byłoby sprzeczne z naturą Bacha, życiowo skromnego organisty niemieckiego, odnoszącego się z podejrzliwością do wszelkich przesadnych nowości stylu ale za to mistrza nad mistrze i niesłychanego estety. Luteranin Bach z utęsknieniem patrzał na śmierć-wyzwolicielkę od życia, do którego był bardzo pesymistycznie nastawiony. Jeszcze w Pasji według św. Jana, wcześniejszym utworze znajdujemy impet. Dziwna jest dramatyzacja tej Pasji. Chrystus pozostaje przez cały utwór jak gdyby widzem królującym z największym spokojem. Jako kontrast mamy niespokojne tłumy, brutalność żołnierzy, kontrast który nieraz przeraża. Niestety, całość jest przerywana liryczno sentymentalnym wpływem Pietyzmu, który w dużym stopniu osłabia biblijną wzniosłość Męki. Liryzm rozbija przedziwnego ducha wstrzemięźliwości biblijnej, to, co Włosi nazywają: „impassibilità degli Evangelisti".

Natomiast w Pasjii według św. Mateusza, mistrz przedstawia się nam w najlepszym świetle. Nie ma tu dramatyczności „Pasji św. Jana", ale styl mamy o wiele wspanialszy, gładką ciągłość, nadzwyczajnie wykorzystywanie chóru. Duch utworu jest epiczno-liryczny, spokojniejszy i ubolewający. Słuchacz jest wprowadzony do mającego się odbyć Dramatu przez mistyczne „córki Sionu". Tu odrazu kompozytor używa wszystkiego co ma do swojej dyspozycji: podwójny chór, dwie orkiestry i dwa organy, wszystko połączone chórem chłopięcym, którego anielskość łagodzi potęgę całości. Użycie tych głosów dziecięcych jest artystycznie wzruszające. I przez cały utwór snuje się łagodne rozmyślanie w poczuciu winy ale i wdzięczności za Odkupienie. Szczyt mistycznego spokoju następuje pod koniec części pierwszej w arii dla tenoru i chóru, a następnie w łagodnej kołysance, w jaką przechodzi chór.

Druga część jest bardziej dramatyczna w miarę jak zbliża się ostateczny akt Kalwarii, ale nawet tu jest spokój i męska boleść.

Jedność, łagodność, wielkie wypracowanie akompaniamentu i użycie chóru głosów chłopięcych nie pozwoli nigdy słuchaczowi zapomnieć tego wspaniałego utwaru. Nie jest to oratorium tak łatwe jak „Mesjasz", ani pełne popularnych melodii, ale gdy się raz „rozgryzie" Bacha, dochodzi się do niewyczerpanego źródła niesłabnącej piękności.

Do utworów „na Wielkanoc" trzeba by dodać jeszcze katolicką Mszę w B-moll Bacha i „Stworzenie świata". Haydna, ale mam wrażenie, że zmieszanie ich z wspomnianymi oratoriami nie byłoby na miejscu!

Andrzej Hierowski

Z LISTÓW DO REDAKCJI

W obronie szefów i chorążych

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Gdyby pan Jasieńczyk Janusz nie operował w swoich opowiadaniach osobami żywymi i żyjącymi, o lekko zmienionych nazwiskach, nie pisałbym tego, co teraz piszę i nie zabierałbym Panu, Redaktorze, tak cennego w redakcjach czasu.

Skoro jednak pan Jasieńczyk nie może się wyzbyć niechęci do szefów i chorążych, jaką wielu podchorążych, z zrozumiałych powodów, zdradzało w okresie ząbkowania oficerskiego, niechaj więc słucha, co powie chorąży i szef i to z gatunku tych najniegodniejszych, tych co nigdy niczem nie zabłysnęli, chyba dwiema gwiazdkami za rany odniesione całkiem przypadkowo, w okolicznościach bynajmniej nie bohaterskich, ale właśnie typowo „szefowskich".

Czy chodzi o chorążego Kotulę? Nie! Chodzi po prostu o krzywdę wyrządzaną następnemu pokoleniu wojskowemu.

W rozdziale opowiadania p.t. „Słowo o bitwie", umieszczonym w „Życiu" nr. 15/94 p. t. „Moja wina", przedstawia pan Jasieńczyk sylwetkę chorążego Kotuli w taki sposób, że u każdego czytelnika, nie znającego dokładnie rozdziału funkcji w wojsku, występuje osoba tego chorążego w roli jedynego tchórza całego batalionu.

Pozwalam sobie przytoczyć krótki urywek: „Kompania naciera, ludzie giną, a tu sobie (domyślnym pozostaje: ten tchórz Kotula) „wyjął srebrną papierośnicę". (znałem chorążych co mieli złotą). Flegmatycznie zapalał „playersa" patentowaną wiatrówką obserwując spod oka ucieszne widowisko: dogoni, czy nie dogoni" — i tak dalej snuje p. Jasieńczyk przez pół rozdziału zadziwiająco dokładne szczegóły o chorążym Kotuli.

Samo opowiadanie dotyczy akcji Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich pod Gazalą. Naprawdę nie przypominam sobie, by na funkcji szefa w S.B.S.K. był chorąży (może był), bo w Brygadzie wogóle było bardzo mało chorążych, a ci co tam byli to byli ludzie starsi (nie niżej lat 47) na stanowiskach znacznie bardziej odpowiedzialnych — niż szefów kompanii.

Jeden — pamiętam — był znanym w całej Brygadzie dziwakiem (obawiam się, że to właśnie Kotula) ale żaden z nich, ani jako jednostka, ani jako reprezentant stopnia „generała chłopskiego", nie zasługuje na wyznaczenie mu przez p. Jasieńczyka roli żołnierza tchórzliwego lub lękliwego.

Rola chorążych i szefów jest doskonale znana (choć nie opisana) i z kampanii wrześniowej i z obozów internowanych i wśród zbuntowanego wojska, zbieranego twardą ręką szefów i chorążych w czasie, gdy żaden oficer ani podchorąży nie odważył się stanąć przed frontem żołnierzy, oraz z wielu, wielu innych życiowych, szarych, bezimiennych poczynań, zmierzających do odtwarzania rozbitego wojska.

A już w S.B.S.K. i w akcji pod Gazalą, chorążowie i szefowie byli czynnikiem ładu w bardzo zagmatwanych sprawach „góry" i „dołu", o których kolega wojskowy Janusz Jasieńczyk zapewne słyszał, ale oddzielony od nich wówczas prawami hierarchi, nie może ich oceniać w perspektywie historii „wojskowości walczącej".

Właśnie pod Gazalą znajdowali się osiwiali w bojach chorążowie i szefowie, co to z swymi znanymi z niesforności w garnizonie „chłopakami" (których czasami przycisnęli, ale w gruncie rzeczy zadziwiająco lubili i bardzo o nich dbali) szli razem, wbrew rozkazowi i wbrew regulaminowi, do natarcia.

Piszę „wbrew rozkazowi", albowiem funkcją szefa kompanii w akcji nie jest bynajmniej nacieranie, — od tego są „chłopcy" — lecz zaopatrywanie kompanii w środki życia i walki, nadzór nad pierwszą pomocą udzielaną rannym, jak wogóle rola przysłowionej „matki kompanii", której ginąć nie wolno a jeśli, to na ostatku.

Celem stworzenia równowagi w literaturze wojskowej, nie pozostawałoby mi — jako chorążemu — nic innego, jako odpłacenie się p. Jasieńczykowi — jako podchorążemu i oficerowi — pięknem za nadobne, opisem „bohaterskiego" zachowania się w akcji, niejednego podchorążego i oficera. Niech mi p. Jasieńczyk wierzy — mam na ten dotychczas, nieopisany temat, (quod licet Jovi...) dużo, dużo ciekawych i sensacyjniejszych spostrzeżeń, opartych o dokumenty leżące w archiwach wojskowych, aniżeli p. Jasieńczyk o chorążym Kotuli i szefach.

W imię prawdy, w imię sprawiedliwości, w imię naprawienia krzywdy wyrządzonej — w co mocno wierzę — tylko przez specyficzne ujęcie akcji opowiadaniowej, proszę Pana Redaktora o wykorzystanie moich nieudolnych wywodów na łamach tak poczytnego, szczególnie wśród szefów, chorążych i innych podoficerów tygodnika ŻYCIE.

Oddany, z całym szacunkiem, najniższy, najmłodszy, choć pierwszy szef jednego z ważnych dywizjonów Samodzielnej Brygady Karpackiej i późniejszy chorąży — nie zawodowy:

Kabe

Nazwisko i adres znane redakcji ŻYCIA.

Ż Y C I E, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY

Wydawca:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

Redaguje Komitet pod przewodnictwem ks. T. Kirschke.

Adres redakcji i administracji:

POLISH WEEKLY „Ż Y C I E" — 12, Praed Mews, London, W.2

Telefony: Redakcja — AMB 6879. Administracja — PAD 9734.

Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.

Administracja czynna: codziennie od godz. 9 do 13 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/— **Wszelkie wpłaty:** przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.